Nr. 5. Kraków, w maju 1903 r. Rok IV.



Pismo dla kobiet

wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor. | zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal. | pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, II. p.

W 112-tą rocznicę Konstytucyi Trzeciego Maja.

„Witaj majowa jutrzenko!
Świeć naszej polskiej krainie"...

śpiewał naród cały w chwili, gdy wspaniała ustawa zasadnicza czyli konstytucya ogłoszoną została dnia 3 maja 1791 roku. — Same wielkie, piękne, rozumne i zbawienne uchwały powzięli wtedy posłowie czteroletniego sejmu i w życie je wprowadzając, mieli zamiar upadającą Ojczyznę odrodzić.

Więc pomiędzy innymi punktami nowej konstytucyi — złotemi niemal zgłoskami wypisano ten czcigodny ustęp, w którym ludowi polskiemu ochronę i opiekę prawa przyznawano. Przeczuwano bowiem już wtedy, że nowy ustrój państwa polskiego budować należy od fundamentów — to jest od ludu — że na ludzie tym oprzeć się potrzeba — bo w nim siła i moc ogromna, w nim ukochania skarby i potęga, co cudów dokazać potrafi.

Ale złe losy zepsuły wtedy dzieło konstytucyi — i opóźniły to, do czego twórcy jej zdążali. Myśl przewodnia tej wielkiej w historyi naszej chwili żyje jednak wciąż wśród nas i działa. Myśl budzenia i uświadomienia chłopów, dzisiaj tkwi już w całym narodzie — i jeżeli tylko podatne znajdzie w samem społeczeństwie chłopskiem narzędzie — wyda owoce nadewszystko pożądane — wskrzesi nam Polskę z martwych, w nowej, czystej szacie — Polskę przyszłości, Polskę ludową!

Madonna i pastuszek.

Z obrazu Scheurenberga.

Ujrzał Ją przez mgły z opalu,
Gdzie ta smuga runiejąca,
Jak pod zorzą szła z koralu,
Przepasana wstęgą słońca.

Szła, w błękitny cichy ranek,
Bosą nóżką w jaskrów złocie,
Po gęstwinie macierzanek,
Przez rumianki i stokrocie.

Spotkał Ją na kwietnym łęku,
Gdzie swe siwe owce pasie,
W gorejącym światłokręgu,
W nieskalanej czoła krasie.

Poznał Ją po śnieżnym rąbku,
Spromienionym w wiatru locie,
Po dzieciątku Jej, gołąbku,
Po niebieskiej lic tęsknocie...

Upadł przed nią drżący bosy,
Na zielone upadł runie,
I kwiat pełen lśniącej rosy,
Z kornym wdziękiem wznosi ku niej.

Twarz dzieciątka uśmiechnięta
Ustek róże wdzięcznie kłoni,
A wyciąga wciąż rączęta,
Wszytkie kwiatki chce mieć z dłoni.

Górą srebrne płynie Ave...
Trzoda dzwoni — droga pusta —
A pustelnik oczy łzawe,
Rozełkane wznosi usta.

„Weź — weź kwiecie, Dziecię Boże,
Cała od nich błoń radośna,
Ale w sercach zejść nie może,
Ani kwiecie, ani wiosna“.

„Ciemno — straszno dookoła,
Małych dziatek słychać łkanie,
Na zapadłym gdzieś kurhanie,
Samobójcze wschodzą zioła“.

„Płonie ziemia, jak zarzewie,
Wiatr pachnący polem lata,
A tam w łonach złość się krzewi,
Żmij wypełza z piersi brata“.

„Promieniste otwórz rączki!
Weź to kwiecie z pól kobierca,
A rzuć promień z Twej obrączki,
Jeden promień w ludzkie serca!...“

Adela Bandrowska.

O pożytku Spółek rolniczych dla kobiet wiejskich.

Prawie każda z naszych czytelniczek wie z doświadczenia, ile trudu i mozołu wymaga sprzedaż tych nielicznych towarów, które wydaje gospodarstwo włościańskie. Ma się na sprzedaż kilkanaście głów kapusty, lub kilka koszyków jabłek, lub kilka worków kartofli — więc wybiera się gospodyni w daleką, uciążliwą drogę i niesie lub wiezie swój towar do miasta, a tam godzinami siedzi na rynku, często w skwarze słonecznym, czasem na deszczu, pilnuje swoich koszyków, aby wśród natłoku tylu obcych ludzi nikt nic nie skradł, od czasu do czasu krzyczy na dzieci miejskie, aby nie psuły towaru ciągłem dotykaniem się, i targuje się z paniami i służącemi miejskiemi; a jak przyjdzie czas powrócić do domu, a jeszcze nie wszystko sprzedane, to po drodze kobieta jeszcze po różnych miejskich ulicach zatrzymuje się, wchodzi do bramy, sztuka do drzwi lub dzwoni, i prosi panią domu lub też kucharkę, czyby nie chciała kupić czegoś, choćby za kilka centów. A nieraz zmęczonej, stroskanej kobiecie dostaje się grubiańska odpowiedź, albo jej po prostu drzwi przed nosem zatrzaskują. Wielki to trud, a często niewielką korzyść przynosi.

Albo też do wsi przybywają handlarze i kupują, co tylko włościanie mają na sprzedaż, i mleko, i jaja, i drób. Ale ci handlarze nie dla miłości bliźniego swój interes prowadzą, tylko dla zysku; ilu ich jest, tylu ich chce żyć z tego handlu, więc starają się na wsi kupować jak najtaniej, a w mieście sprzedawać jak najdrożej. Więc niby to wygodnie dla włościan, że handlarz do nich przychodzi, a jednak niedobrze na tem wychodzą. To też niejeden woli sam jechać do miasta, lub posłać żonę, mimo, że droga daleka i czasu szkoda, byle tylko trochę więcej grosza dostać. A tymczasem nieraz praca na polu nagli, trzebaby ją ukończyć szybko, przed ulewą, przed burzą, przed gradem, a nie ma komu, bo gospodyni poszła do miasta i tam od drzwi do drzwi chodzi i dzwoni. I tak bieda, i owak bieda.

Ale nie wszędzie tak bywa. Są wsie na świecie, gdzie wszyscy włościanie z całej wsi dobrowolnie połączyli się w spółkę, po to, aby wszystko, co mają na sprzedaż, wspólnie sprzedawać. — Wtenczas już nie trzeba, aby z jednej wsi trzydzieści gospodyń wybierało się do miasta, każda z swoimi kilkoma koszykami, lub jednym koszykiem tylko; wystarcza jeden mężczyzna, aby

na jednym dużym wozie towary z całej wsi zawieść do najbliższej stacyi kolei i stamtąd do miasta wysłać. Bywa też, że taka spółka włościańska w mieście. Wynajmuje osobny sklep, w którym zawsze, któryś z członków spółki, lub też jakiś człowiek jedynie w tym celu najęty siedzi, strzeże towarów i sprzedaje je; wtenczas już nie ma obawy, żeby deszcz zepsuł towary, jak przy tych koszykach, które kobieta rozkłada na bruku rynku. A podczas kiedy ten jeden człowiek siedzi w sklepie i sprzedaje towary, wszyscy inni, włościanie i włościanki, mogą spokojnie zostać na wsi i pracować na swojem własnem gospodarstwie. Albo znowu, jeżeli spółka nie ma własnego sklepu, to wysyła cały swój towar koleją lub wozem do miasta do jakiego wielkiego kupca, omijając i usuwając wszelkich pośrednich handlarzy. I w ten sposób mogą włościanie lepszą zapłatę za swoje towary dostać, i z mniejszym trudem, jak kiedy każda kobieta osobno do miasta idzie, lub każdy gospodarz z osobna targuje się z handlarzami. Rozumie się, że taka spółka nie jest własnością żadnego pojedynczego gospodarza, ni kuma Piotra, ni kuma Pawła; jest to wspólne urządzenie, należące do wszystkich. Rozumie się też, że ten gospodarz, którego na rok bieżący obrano skarbnikiem spółki, każdemu z sąsiadów za towar, który tenże wysłał do miasta, imieniem spółki wypłaca rzetelną cenę, i to nie według własnego widzimisię, tylko według uchwał zgromadzenia członków spółki, albo według postanowienia wydziału, obranego przez zgromadzenie członków.

Na Morawach, na Ślązku, w Poznańskiem takie spółki rolnicze tu i owdzie istnieją; a dalej na zachód, gdzie szkoły ludowe są liczniejsze i lepsze niż u nas, a więc ludzie więcej wiedzą i lepiej sobie radzić umieją, tam tych spółek jest jeszcze daleko więcej. Tylko w Galicyi jeszcze bardzo, bardzo mało takich zbawiennych urządzeń na wsi napotkać można, a te które są, nie zawsze są należycie prowadzone. A jednak trzeba tylko trochę wytrwałości, trochę sumienności i czujności, aby za pomocą takiej spółki rolniczej oszczędzić sobie wiele trudu i polepszyć swój los. A kiedy raz taka spółka rolnicza istnieje, a członkowie pilnie chodzą na zgromadzenia spółki i czuwają nad tem, żeby zawsze wszystko w porządku było, wtenczas spółka rolnicza może przynosić włościanom jeszcze rozmaite inne korzyści.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JAN KILIŃSKI.

(W ROCZNICĘ KWIETNIOWĄ).

Po drugim rozbiorze Polski, wrogowie nasi rządzić się w niej zaczęli jak u siebie, a szczególniej carowa moskiewska Katarzyna.

Wydawała ona rozkazy i polecenia, jakie dla niej były dogodne, przez swego generała Igelströma, a król polski Stanisław Poniatowski, który z jej rozkazu na tronie polskim był osadzony, nie śmiejąc się jej w niczem sprzeciwić, rozkazy te święcie wypełniać kazał.

Uległość ta nie podobała się szlachcie i mieszczaństwu i postanowili chwycić za broń, żeby wrogów z naszej ojczyzny wypędzić.

Zdawało się to tem łatwiejsze do uskutecznienia, że regularnego wojska polskiego było jeszcze 40.000.

Ale generał Igelström nie próżnował w Warszawie, bo zaraz po swojem przyjeździe wynajął kilkudziesięciu szpiegów, którym dobrze płacąc wiedział o wszystkiem, co się dzieje, nietylko w Warszawie, ale i w całym kraju. Gdy się dowiedział, iż Polacy chcą zrobić powstanie, poszedł do króla i niby z wielkiej życzliwości, namawiał go, żeby wojsko rozpuścić, że utrzymanie jego dużo kosztuje, a kraj biedny, niema na to dostatecznych funduszów.

Nie chciał się na to z początku zgodzić król Stanisław, ale gdy mu Igelström powiedział, iż to jest życzeniem Katarzyny, nie śmiał odmówić i stósowne wydał polecenie.

Oburzyło to ogromnie naród polski, a niektórzy wodzowie na pozór tylko rozkaz ten wypełnili. Generał Wodzicki, niby to wojska swoje rozpuścił, ale kazał im się ukryć po wsiach w okolicy Krakowa i tam utrzymywał ich swoim kosztem. W samej Warszawie, prawie w każdej kamienicy, gdzie tylko prawdziwi patryoci mieszkali, ukrywało się po kilku żołnierzy. Wielu z nich wychodziło wieczorami ze swoich kryjówek, chodząc po szynkach i gospodach, i namawiając najuboższą klasę, t. j. robotników, żeby i oni przyłączyli się do tych, którzy chcą ojczyznę z jarzma wrogów oswobodzić.

Dowiedział się o tem Igelström i postanowił złemu zaradzić, za pośrednictwem króla.

Prezydent warszawski, który był królowi, a więc i Moskalom przychylny, wezwał wszystkich radnych miasta na ratusz i zapowiedział im, żeby chodzili po szynkach i gospodach, i buntujący się lud uspakajali, a tych, którzy

nimi dowodzą, odstawiali na ratusz. Kilku z nich oburzyło się tem bardzo, że chcą z nich zrobić szpiegów, żeby własnych braci zdradzali, ale inni, którzy się bali moskiewskiej władzy, w milczeniu rozkaz przyjęli.

Jan Kiliński, szewc i radny miejski, który pierwszy poddał tę myśl, żeby chwycić za broń i oswobodzić ojczyznę z najezdców, a który dotąd skrycie starał się wchodzić do szynkowni, ażeby namawiać lud do powstania, usłyszawszy ten rozkaz prezydenta, śmielej teraz wszędzie zachodził, pod pozorem, że niby uspokaja ich, a właściwie dawał polecenia, jak sobie mają postąpić, żeby wszyscy na oznaczony czas byli gotowi.

Doniesiono o tem generałowi Igelströmowi, który też wnet wysłał po niego swego służbowego oficera, zeby go niezwłocznie przyprowadził. Na szczęście oficer ten, chociaż Moskal, ale poczciwym był człowiekiem i znał się już dawno z Kilińskim, prosił go więc, żeby sam udał się do pałacu generała i że nie chce go aresztować, a pod wielkim sekretem powiedział mu, że Igelström ma zamiar zrobić rzeź w Warszawie i że już 6 pak pełnych noży przysłali z Petersburga.

Nadchodziły właśnie święta wielkanocne, więc Igelström wybrał na to dzień wielkiej Soboty, jak wszyscy ludzie pójdą do kościołów, mieli wtenczas Moskale kościoły te otoczyć i nie wypuścić nikogo z nich, aż wszystko wojsko polskie wyrżną, a dopiero potem miał tensam los spotkać wychodzących z kościołów.

Kiedy Jan Kiliński stawił się przed Igelströmem, Moskal obsypał go obelżywemi słowami i powiedział mu, że on wie o tem dobrze, iż Kiliński chodzi po szynkowniach i buntuje lud przeciwko najmiłościwszej carowej. Ale Kiliński przyznał się śmiało, iż chodzi po szynkach, ale czyni to z rozkazu generała, iż on musi w ten sposób zjednać lud na swoją stronę, żeby potem łatwiej go mógł w pole wyprowadzić, bo inaczej. gdyby ich otwarcie odmawiał od ich zamiarów, toby go gdzie w kącie zamordowali. Niemądry Moskal uwierzył sprytnym słowom Kilińskiego, pochwalił jego rozum i puścił go na wolność.

Naczelnym wodzem całego powstania, naród jednogłośnie wybrał Tadeusza Kościuszkę, który w Krakowie złożył przysięgę na Rynku w dniu 24 marca. Objął dowództwo nad wojskiem i wydał odezwy do ludu, zachęcając ich do powstania przeciwko wrogom. Na to tylko czekał Jan Kiliński.

Jak tylko wiadomość ta doszła do Warszawy i odezwy porozlepiano na rogach ulic, Jan Kiliński poszedł niezwłocznie do generała Mokronowskiego, który miał dowodzić wojskiem i naradził się z nim, żeby w wielki Czwartek, kiedy we wszystkich kościołach równocześnie zadzwonią na Gloria, uderzyć na Moskali.

Kiliński, który dowodził mieszczanami, przez całą noc z środy na czwartek nie zmrużył oka, ciągle był czynnym, obsadzał wszystkie ulice, któremi mogliby Moskale uciekać, swoimi oddziałami, kryjąc ich po wieżach, bramach i strychach.

Gdy około 10 godziny rano odezwały się dzwony we wszystkich kościołach, generał Mokronowski wyszedł z swojem wojskiem i uderzył na koszary, w których byli Moskale.

Wojska carycy, nie spodziewając się tak nagłego napadu, nie mogły stawić silnego oporu, i większa ich część w ucieczce szukała ocalenia, ale gdy wyszli na ulicę, witali ich Polacy celnymi strzałami, a kobiety obrzucały ich kamieniami.

Wojska moskiewskiego było w Warszawie tylko 8.000 i prawie wszyscy polegli z ręki powstańców, mała tylko garstka ocalała, ale ci poddać się musieli.

Polacy, uprzątnąwszy się z żołdakami, poszli na zamek królewski, ażeby aresztować Igelströma, ale ten widząc, co się dzieje, uciekł do Prusaków, którzy niedaleko od Warszawy obozowali.

Gdy Kościuszko dowiedział się o waleczności Kilińskiego, który tak wielką oddał przysługę Ojczyźnie, przysłał mu nominacyę na pułkownika. Przyszli po niego mieszczanie z muzyką i chorągwiami, i zaprowadzili go na ratusz, tam wręczono mu nominacyę na pułkownika, a chłopcy mali biegnąc koło pochodu, wesoło śpiewali:

Kiliński był szewcem,
A poruszył Warszawę,
Wyprawił Moskalom
Weselisko krwawe.

Gdyby Kościuszko dłużej był wojował, możeby losy Ojczyzny naszej inny wzięły obrót, ale ciężko rannego w bitwie pod Maciejowicami, zabrali Moskale do niewoli i wywieźli do Petersburga. Polacy tracąc ukochanego wodza, stracili i ducha.

Wymordowanych Moskali w Warszawie pomścił generał Suwarow, chcąc zużytkować przysłane z Petersburga noże, całą Pragę, to jest

przedmieście Warszawy, wyrżnął doszczętnie, bez różnicy płci i wieku.

Szewc, Jan Kiliński, dzielny dowódzca mieszczan, żyć będzie wiecznie w pamięci każdego dobrego Polaka.

Walerya Ciechomska.

Sierota — cyganka.

(Dokończenie).

Zapłaciła za bułkę, drugiego centa dobrze w węzełku ukrywszy, potem pod lasem usiadła i chleb ze smakiem zajadała. Przynęcony chlebem przybiegł pies kudłaty, który jak ona, domu nie miał i głodny był i wychudzony. Jadła chleb, jeden kęs do ust niosąc, drugi psu zgłodniałemu rzucając. Pies jadł, ogonem radośnie wywijał z wdzięcznością patrząc na dziewczynę, i ani warknął, gdy mu rozwiązywała sznurek, który mu zuchwali chłopcy na szyi uwiązali. Potem psa pogłaskała, ostatni jeszcze rzuciła mu kąsek, gwizdnęła i zaczęła się z nim uganiać po łące. Od tej chwili miała w nim przyjaciela. Chodziła z nim razem do Leśniaka, który i psu chleba nie poskąpił. Ale coś jej nagle strzeliło do głowy i zniknęła na dni kilka.

Poszła do miasteczka, uzbierała trochę grosza, bo w sąsiedniej wiosce zbierało się na odpust. Ale już nie szmatkę kolorową wybrała na straganach, lecz serce wielkie z piernika, z pięknym obrazkiem na środku, upstrzonem barwnemi kwiatkami z cukru. Uradowana szczerzyła zęby z radości do wszystkich, ale kiedy się do wsi zbliżała, ukryła skarb swój pod chustką, bo się bała, żeby jej pastuchy piernika nie zabrali. Gdy już była blizko kościoła, usłyszała smutny śpiew wiejskiej gromadki, co nieboszczyka jakiegoś na cmentarzu do snu wiecznego układała. Żal ścisnął serce Rózi, bo strasznie żałowała każdego, co już słonka Bożego ujrzeć nie ma. Więc rozpłakała się razem z wdową i córką zmarłego, i już chciała jej na pociechę serce z odpustu podarować, ale się rozmyśliła i tylko mocniej przycisnęła je do piersi, aby jej nie skusiło. Rzuciła tylko grudkę ziemi na trumnę nieboszczyka i nie oglądając się, pospieszyła na koniec wioski do Leśniakowej chałupy.

Stary pietruszkę plewił i zielsko na kupę składał, tedy przybiegła i serce z piernika ofiarowała.

— Na, macie! — rzekła z rozjaśnioną twarzą, na której jeszcze nie obeschły łzy żalu za nieboszczykiem.

Stary Leśniak ludzkie serca znał, wady sądził łagodnie, a cnota ludzka tak go radowała, jakby jemu samemu do zbawienia była potrzebną. Wziął piernik, drżącemi od wzruszenia rękami, i na długą chwilę znikł w komorze. Gdy wrócił, zauważyła Rózia, że powieki miał zczerwienione. Ale o nic nie pytała, bo była szczęśliwa, że gospodarz darem jej nie wzgardził.

— Wicie — mówiła, a rozradowanie zniknęło nagle z jej twarzy — umarł ten Dębiak, co to jeździł do Prus na robotę. Podobnoć się tam zapracował i słońce go do reszty spaliło. O jużci tam Prusaki, jak markami niemieckiemi płacą, to nietylko pracę, ale i życie zabrać chcą polskiemu chłopu. — Mówiła poważnie, jakby była doświadczoną kobietą, a nie dzieckiem.

— Oj, dobrze mówisz dziecko — westchnął Leśniak — i nietylko to, ale gdy chłopa Prusak do siebie przynęci, to i mowę swoją i tę czarcią duszę chciałby mu zarzucić.

— O rety!

— Każe mu zapomnieć polskiej mowy, a to gorsze niż śmierć.

— A jużci, że gorsze.

— Cóż nam z obcych pieniędzy, kiedy przez to własną ziemię każe nam zapomnieć.

— Prawdę mówicie! o jacy wy mądrzy!

— Jak ta matka, co za pieniądze od własnych dzieci ucieknie, aby wychowywać obce.

— Macocha, nie matka. Gdyby Dębiak we wsi został, nie osierociłby żony i córki — ale przywieźli go schorowanego od tego słońca pruskiego, że dobrze, że go jeszcze w swojej ziemi pochowali.

— Pójdziesz do kościoła pomodlić się za jego duszę?

— Ale! daliby mi ludzie.

— A dlaczego?

— Ano, bo ja cyganka.

— A nie chrzczonaś ty?

— Ale! chrzczona; i medalik noszę, a jakże! oni ino tak mówią na despet, że ja poganka. Ale to nieprawda.

— A modlić się umiesz?

— A jakże!

— Z książki?

— Ale! jeszcze by też.

— To czytać nie umiesz!

— Umiałabym! a skąd?

— Bójże się Boga dziewczyno! toż to wstyd!

— Dobrze wam mówić, skoroście do szkoły chodzili.

— Nie chodził ja ta do szkoły, bo wtedy, gdy był czas na uczenie, szkół we wsi nie było — ale dziś szkoła jest, i uczyć się może każdy, kto chce.

— Cóż z tego, kiej mnie przyjąć nie chcieli.

— A dlaczego nie chcieli?

— A no pewno dlatego, bom cyganka.

— A chciałabyś ty pójść do szkoły?

— I jak! Ale mnie pewno nie przyjmą, bo metryki nie mam.

— Oj sieroto ty biedna, nie masz metryki, nie masz matki, coby cię kochała. Ale Bóg dobry ulitował się nad tobą i nademną sierotą. Mnie, z bólu, który już przeszedłem został jeszcze strzęp serca — to będzie dla ciebie, a za to kiedyś, gdy umrę, gródkę ziemi na trumnę rzucisz i łzę uronisz na mogiłce.

Ona do nóg upadła staremu.

— O nie mówcie tak, prosiła, bo mi okrutnie markotno! Wyście dobrzy, o tacy dobrzy, że przy was to życie raźniej popłynie.

Podniósł ją stary Leśniak, łzy rękawem otarł i do chałupy dziewczynę zawiódł.

— Widzisz — rzekł, wskazując jej komorę jasną i schludną — to twoje, na jarmark zemną pójdziesz, przyodziewy ci kupię, pracować będziesz ze mną razem w polu i ogrodzie, co niedziela do kościoła pójdziemy pochwalić Boga. Rózia wpatrywała się w starego z uwielbieniem i miłością. Zrozumiała, że w jednej chwili pokochała go całem sercem, że dla tej miłości będzie dobrą, jak anioł. Leśniak nie mówił na próżno. Na drugi dzień ubrał się odświętnie i poszedł na plebanię, gdzie ksiądz proboszcz pochwalił dobre jego serce i pomódz mu przyrzekł. Leśniak urzędownie się zobowiązał dziewczynie zastąpić ojca i matkę. I nie żałował szczodrobliwości swej, bo Rózia znalazłszy serce, co ją przygarnęło do siebie, z podwójną mocą pokochała ludzi, wśród których dobrze jej teraz żyć było. I powtarzał sobie i Rózi, że: „Miłością bliźniego dużo dobrego zdziałać można“.

R. Pniowerówna.

Ul i jego mieszkańcy.

(Ciąg dalszy).

Mieszkańcami ula są pszczoły.

Małe te skrzydlate stworzonka należą do gromady owadów, tak jak muchy, osy, trzmiele itp. Ciało pszczoły, pokryte rogówką, porośniętą delikatnymi włoskami, składa się z trzech głównych części, a mianowicie: z głowy, tułowia i odwłoka.

Na głowie posiada pszczoła dwoje oczu bocznych (złożonych), któremi rozpatruje się w pobliżu np. pracując w ulu; i trzy oczka pojedyncze, ustawione przy sobie na przodzie głowy, a temi widzi w dal n. p. lecąc za pożytkiem w odległe strony. Przekonać się o tem łatwo. Gdy zamażemy pszczole oczy przednie i puścimy ją wolno, to do ula nie trafi. Słyszy pszczoła za pośrednictwem delikatnych m a c a d e ł e k, które wyglądają jakby dwa czarne rożki. W nich posiada pszczoła także i nadzwyczajne czucie. Usta opatrzone są wargami. Warga dolna wydłuża się znacznie i tworzy trąbkę, która służy pszczołom do zbierania miodu i wody, karmienia młodych itp. W ustach znajdują się szczęki dolne i górne, któremi pszczoła może rozgryzać kit, wosk, pyłek kwiatowy i inne nieraz dość twarde przedmioty.

T u ł ó w pszczoły składa się z trzech pierścieni. Z nich wyrastają nogi i to z każdego pierścienia po parze.

Pierwsza para, od innych krótsza, porusza się bardzo zgrabnie i swobodnie, to też pszczoły nóżkami temi posługują się ciągle; rozchylają niemi kielichy kwiatów, czeszą się, muskają itp. Podobnie jak noga ludzka składa się z kilku części, tak samo noga pszczoły składa się z biodra, przedudzia, uda, golenia i stopy. Stopa kończy się dwoma pazurkami. Na goleni tylnych nóżek po stronie zewnętrznej znajdują się dwa dołeczki okolone włoskami, niby ścianką koszyczka; w nich znosi pszczoła pyłek kwiatowy do ula.

Z dwu ostatnich pierścieni wyrastają po bokach dwie pary błonkowatych skrzydełek, służących pszczole do latania. U starszych robotnic są one często wystrzępione z nadmiaru użycia.

O d w ł o k, czyli tylna część ciała pszczoły, składa się również z pierścieni, ułożonych nad sobą tak, jak gonty lub dachówki na dachu, przeto pszczoła może odwłok dowolnie wydłużać, ściągać lub wyginać, a także kłuć żądłem, ukrytem w końcu odwłoka.

Ż ą d ł o. Broń w jaką Pan Bóg uzbroił te

skrzętne pracownice, a przed którą nawet najśmielsi ludzie są zawsze z uszanowaniem, jest przyrządem dość złożonym. — Schwyciwszy pszczołę za skrzydełka, widzimy, że wysuwa ona w tej chwili z odwłoka niby cieniutką, ostrą igiełkę, na której końcu błyszczy drobniutka kropelka srebrzystej rosy. Igiełka ta — to właściwe żądło, srebrzysta kropelka — to jad pszczeli. Oprócz tych części znajduje się jeszcze w odwłoku niewidoczna na zewnątrz część żądła a mianowicie: przyrząd do wysuwania i chowania żądła, tudzież pęcherzyk z zapasem jadu. Igiełka żądła nie jest pojedynczą, lecz składa się z trzech maleńkich, sprężystych sztylecików, z których każdy opatrzony jest na końcu wstecz zwróconemi haczykami, jak np. haczyk na ryby. Pszczoła kłując wbija łatwo ostre żądło w ciało, ale nie łatwo wyjąć go może. Za chwilę gniewu i uniesienia, za ukłucie choćby we własnej obronie, pokutuje biedna nieraz bardzo ciężko; nie mogąc bowiem wyrwać żądła z rany, zostawia je, ale zostawia wraz z wnętrznościami, wskutek czego utraca najdroższy jej skarb — życie. Wraz z żądłem dostaje się do rany jad pszczeli, sprawiając tam ból dotkliwy i opuchnięcie.

(Szczegółowo i bardzo pracowicie zbadał i opisał ciekawy ten przyrząd Dr. Ciesielski w *Bartnictwie* z r. 1888 Lwów.)

Pszczoły żywią się pyłkiem z kwiatów i miodem, a piją wodę. Pyłek kwiatowy znoszą do ula na nóżkach, miód zaś w żołądku miodowym. Żołądek ten nadzwyczaj czyściutki, przeznaczony tylko na zbiornik miodu, znajduje się w odwłoku w okolicy drugiego pierścienia. Pszczółka latając po kwiatkach zbiera słodycz po kropelce i układa tymczasem w żołądku miodowym. Uzbierawszy pełno, wraca do ula i tu wyładowuje nagromadzone zapasy. Oprócz pierwszego, posiada pszczoła jeszcze i drugi żołądek połączony z miodowym rureczką. W tym drugim przetrawia ona spożyte dla siebie pokarmy. Części nie strawione, których zresztą w miodzie dobrym bywa bardzo mało, przechodzą przez kiszkę odchodową na zewnątrz.

Wiemy, że pszczoły widzą, słyszą, czują, mają smak i powonienie, że wydają ze siebie głos, że się głosem tym porozumiewają z sobą, jakoby rozumiały, ale nie wiemy, o czem i co gadają.

Porozumiewanie się pszczół, ta ich rozmowa musi pozostać dla nas zagadką, o której rozwiązanie człowiek ani pokusić się nie może. A jednak dobry pasiecznik, jeśli już nie rozmowę, to dźwięk głosu pszczelego i tegoż znaczenie znać dokładnie powinien.

Cichy, spokojny głos pszczół w ulu, podobny do szmeru strumyka, lub szeptu modlitwy, to oznaka spokojnego i pracowitego życia rodziny pszczelej; przeciwnie, głos smętny i jękliwy oznacza płacz i lament gromadki, którą zapewne dotknęło jakieś nieszczęście lub bieda. Cięty, krótki a syczący głosik latającej pszczółki, to hasło bojowe, to zapowiedź jej gniewu i użalenia. Spokojny, akordowy brzęk wracającej z pola robotnicy, to oznaka zadowolenia, to podzięka Wszechmocnemu Panu za uzbierany nektar złoty.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Starych krów nie warto trzymać z wielu względów.

1) Im starsza krowa, tem skłonniejsza do suchot (tuberkulozy), która to choroba pomiędzy bydłem robi wielkie spustoszenia. Jakkolwiek cielęta od tuberkulicznych krów na razie są zdrowe, później jednak podpadają tej chorobie.

2) Im krowa starsza, tem mniej opłaca dawaną jej paszę. Koszta utrzymania takiej krowy z natury rzeczy są wyższe. Wiadomo, że starsze o wiele trudniej się tuczą, jak młode, i aby starą krowę utuczyć, znacznie więcej potrzeba paszy.

3) Za stare tuczne krowy rzeźnicy tańsze ceny płacą, jak za młodsze, a także jakość mięsa starszych krów jest gorsza. Różnica ta bywa bardzo znaczna.

4) Im krowa starsza, tem mniej mleka daje, a także mleko starej krowy nie posiada takiej zawartości tłuszczu, jak młodej.

Z powyższego wynika, że krów ponad pewien wiek w gospodarstwie trzymać się nie opłaca. Za to właściwiej postępuje gospodarz, przeznaczając stare krowy na rzeź. W ogólności zaleca się nie trzymać krów starszych jak 8—9 lat. W ostatnim roku nie doprowadza się ich do stadnika, lecz opasa się je. Wyjątkowo tylko krowy, dające dobre cielęta i bardzo dobre dojki, trzymać dłużej należy.

Kościół św. Krzyża na Łysej górze.

W gubernii radomskiej, powiecie opatowskim ciągnie się pasmo gór, których dwa najwyższe szczyty zowią się: Łysica, czyli św. Katarzyny i Łysa, czyli Świętokrzyska. Ostatnia jest na 2000 stóp nad poziom morza Bałtyckiego wzniesiona, a jak uważa Staszyc*), musiała być dawniej jeszcze daleko wyższą, czego dowodzą na samym wierzchu rozburzone skały i niezmierne na wszystkie strony zwaliska.

Podanie ludu niesie, jakoby rozburzenie Łysej góry stało się przez wielkie trzęsienie ziemi, lecz o tem nie ma żadnej wzmianki w dziejopisach.

Łysa góra jest tak wysoka, że często chmury opierają sie o jej wierzchołki, a choć deszcz i burza panuje na dole, w górze najpiękniejsza pogoda.

Z wierzchołka góry czarujący roztacza się widok. Bielejące od śniegu w pośród chmur szczyty Karpat, o mil 30 odlegle, pola i lasy, wsie i miasta rozsiane po wzgórzach i dolinach, zachwycają oko patrzącego.

Na Łysej górze przed wielu wiekami stała świątynia pogańska, bożka Lelum Polelum**).

Król polski Mieczysław I. po przyjęciu wiary św. zbudował tu drewniany kościółek. Syn Mieczysława, Bolesław Chrobry, wystawił tu w r. 1006 świątynię murowaną i sprowadził z Włoch braci Benedyktynów, którym obok kościoła klasztor wybudował, aby lud w wierze utwierdzali i nauką oświecali.

O wystawieniu kościoła tego takie krąży podanie: Na dworze Bolesława Chrobrego bawił jego siostrzeniec, królewicz węgierski Emeryk. Ten polował w ogromnym lesie, którym cała Łysa góra była otoczona. Królewicz za biegłym jeleniem puścił się w pogoń i zabłądził. Naraz, na najwyższym szczycie góry widzi owego jelenia, któremu — między rogami — cudnie błyszczy krzyż złocisty. Emeryk uczynił ślub, że jeżeli go Bóg z tych nieprzebytych lasów szczęśliwie wyprowadzi, poprosi wuja swego króla Bolesława, aby na miejscu cudownego zjawiska kościół wybudował. Co gdy się stało, królewicz węgierski, w dowód wdzięczności Bogu za szczęśliwe ocalenie, ofiarował świeżo wzniesionej świątyni cząstkę drzewa Krzyża św., którą to relikwię, ojciec Emeryka, król Stefan, otrzymał był jako wielki upominek od cesarza wschodniego.

Po dziś dzień w bocznej kaplicy kościoła znajduje się w złotej oprawie ów dar królewicza Emeryka, cząstka drzewa Krzyża św., od której kościół i cała góra przybrała swoje nazwisko.

Kościół Łysogórski szybko się wzbogacał królowie i książęta składali tu drogocenne podarunki. To też nic dziwnego, że podczas napadu Tatarów w r. 1260 klasztor Benedyktynów, jako głośny z nagromadzonych skarbów, został przez barbarzyńców zrabowany, a zakonnicy w pień wycięci.

Kościół wchodową i tylną ścianę ma z ciosu ułożoną, zewnątrz zdobią go marmurowe posągi opatów i rycerzy. Nie nosi na sobie żadnej cechy starożytności, po ostatnim bowiem pożarze został odnowiony i przyozdobiony w nowym stylu.

Wilgoć pomimo takiej wysokości — jest tam tak wielka z powodu opoki, na której mury są wzniesione, że jak tylko deszcz ma padać, woda kroplami na posadzkę marmurową występuje. Z jej to przyczyny piękne obrazy sławnego polskiego malarza Smuglewicza, zdobiące nawę kościoła stopniowo ulegają zniszczeniu. Wielki ołtarz zdobią dwa słupy mozajkowe, w środku których obraz wspomnianego malarza Trójcę św. przedstawia. Sześć innych obrazów tego artysty upiększają ściany.

Sto lat niezadługo ubiegnie od konsekracyi po owym strasznym pożarze odbudowanej świątyni. Ząb czasu już wszędzie wyrył nieubłagane piętno zniszczenia. Wichry tylko jęcząc i zawodząc huczą i zawodzą nad starą świątynią, zdają się dla niej błagać o pomoc.

I pomoc ta prawdopodobnie przyjdzie, gdyż władze rządowe zezwoliły na zbieranie w ciągu lat trzech dobrowolnych ofiar w guberniach: piotrkowskiej, witebskiej i radomskiej, do sumy 6,270 rb. 67 kop.

W maju r. b. wyszli kwestarze z puszkami prosić o grosz wdowi i zapewne czy wstąpią pod strzechę wieśniaczą, czy do plebanii lub dworu, nie wyjdą z próżnemi rękoma. Tylko dobrowolne ofiary mogą zabezpieczyć kościół od ruiny, obrazy zaś Smuglewicza i malowanie ścienne Macieja Reichana od zupełnego zniszczenia, gdyż parafia słupska, w której obrębie św. Krzyż się

*) Uczony z końcem 18-go stulecia.

**) Jabłoński pisze, że w r. 1686 przed drzwiami kościoła, kując z boku skały, znaleziono łożysko, w którem był posąg bożyszcz węglami osypany.



MATKA BOSKA Z PASTUSZKIEM

J. Scheurenberga.

znajduje, jest mała i ubożuchna. To też komitet, w którego skład wchodzą pp. Ludwik Wąworek, prezes, ks. Józef Męczyński, skarbnik, Włodzimierz Majewski, Józef Świeżyński, Adam Pankowski i Wincenty Wróblewski uprzejmie prosi ludzi dobrej woli, aby sprawą restauracyi prastarej, a sercu każdego polaka drogiej świątyni szczerze się zajęli i w miarę możności choć mały datek na ten cel złożyli.

Redakcya *Przodownicy* chętnie w tej pięknej i pożytecznej sprawie pośredniczyć będzie.

ROZMAITOŚCI.

W Krakowie rozpoczął się w kwietniu szereg bardzo zajmujących odczytów o wsi polskiej.

W pierwszym z nich profesor Potkański opowiadał, jak powstały wsi u nas. Otóż jako najwłaściwszą polską wieś uważa mowca taką, gdzie po obu stronach drogi, wiodącej do dworu, stoją zagrody chłopskie — dokoła jest obszar dworski, podzielony na trzy pola, a poza niem, na jego zewnętrznym skraju są wąskie łany chłopskie.

Taka wieś istniała w Polsce już od XIII. wieku, t. j. od czasu, gdy szlachta jako właściciele ziemi i duchowieństwo nie chcieli już dłużej przyjmować od chłopów czynszów, danin w płodach gospodarczych (zboże, miód, skórki zwierzęce), lecz w pieniądzach. A że nasi chłopi w owych czasach nie umieli z gospodarstwa swego wyciągać pieniędzy — przeto szlachta i duchowieństwo zaczęli sprowadzać do swoich wsi obcych osadników — głównie Niemców. Ci wprowadzili taką trójpolową uprawę i wytworzyli opisany typ wsi. Pierwotnie wsi te zakładano na prawie niemieckiem. Każdy osadnik Niemiec otrzymywał wązki łan 30-morgowy (po 10 morgów na każdem polu) i musiał płacić czynsz. Sołtys (wójt) otrzymywał 2 łany, dochody z grzywien, prawo pędzenia piwa i trzymania jatek, a za to miał spełniać obowiązek służby wojskowej. Z czasem wsi czysto polskie tak samo się urządziły, jak te osady niemieckie. Ten stan rzeczy trwał do 15 wieku. Wtedy szlachta zaczęła zamieniać kmieci, wolnych czynszowników, na zagrodników czyli chłopów pańszczyźnianych, zagarniając ich działki i włączając je do obszarów dworskich. Więc wielu chłopów polskich zaczęło uciekać na wschód i osiedlać się na Rusi, a w Polsce rozszerzyły się obszary dworskie i wytworzyła się gospodarka folwarczna, oparta na pańszczyźnie.

I tak pozostało aż do najnowszych czasów. Dziś jednak widzimy dążenie odwrotne. Skutkiem parcelacyi, obszary dworskie coraz to maleją, a działów chłopskich przybywa. Ale wobec coraz większych postępów w gospodarstwie — trójdziałowa wieś nie jest dziś korzystną i zapewne typ ten niedługo zaginie.

Następne 3 odczyty, wygłoszone przez dra Bujaka, o „wsi galicyjskiej w 19 wieku“, przedstawiły stan włościaństwa naszego w Galicyi zachodniej od czasu uwłaszczenia po dzień dzisiejszy. Przedewszystkiem więc wykazał mowca, że mylą się ci, którzy twierdzą, iż nasi chłopi lekkomyślnie i bezpotrzebnie rozdrabniają swą ziemię, otrzymawszy ją na własność w r. 1848, a prawo dzielenia czyli wolnego rozporządzania nią, dzierżąc od r. 1868. Albowiem gdy na początku 19 stulecia miała Galicya pół miliona posiadłości chłopskich, z czego przeszło połowa gospodarstw było tak małych (od 2 do 5-morgowych), że nie wystarczały na utrzymanie ich posiadaczy; obecnie jest w Galicyi 8 milionów morgów stanowiących 900.000 gospodarstw chłopskich, czyli że na 1 posiadacza przypada przeciętnie przeszło 8 morgów ziemi. Przyczyną podziałów chłopskich gospodarstw był przedewszystkiem wzrost ludności, która domagała się udziału we własności i której nie można było w inny sposób dać środków do życia. Rozdrobnienie ziemi jednak postąpiło tylko bardzo nieznacznie i to wskutek powiększenia się obszarów dworskich przez zmniejszenie się własności dworskiej. Szlachta parceluje swe grunta i sprzedaje je chłopom, którzy, mając większe posiadłości, mogą je bez szkody dla gospodarstwa między dzieci dzielić. A przecież mimo tych korzystnych warunków brakuje wciąż chleba dla naszego ludu, więc wychodźtwo do Niemiec i Ameryki trwa i wzmaga się ciągle.

Co do przemysłu i handlu wiejskiego, to — zdaniem dra Bujaka — w chwili, gdy Galicya dostała się podczas pierwszego rozbioru Polski pod berło Austryi, kwitły one i rozwijały się należycie. I mimo, że rządy austryackie uważały Galicyę za kraj przedewszystkiem rolniczy, w drugiej połowie 19-go wieku wsi nasze, zwłaszcza w powiatach zachodnich jak: chrzanowskim, bialskim, wadowickim, myślenickim, sądeckim, nowotarskim, a nawet w krośnieńskim, jasielskim i sanockim, miały wybitny typ przemysłowy — gdyż kwitło tu sukiennictwo i tkactwo, gorzelnictwo, hutnictwo żelaza, szkła, wyrób papieru, garbarstwo i białoskórnictwo, cukrownictwo i mydlarstwo. Dopiero, gdy około roku 1870, rozszerzono po kraju sieć kolei żelaznych, przez co tanio zaczęto sprowadzać z krajów austryackich wyroby tamtejszego przemysłu, i gdy żydzi zagarnęli niemal cały handel w swe ręce — chłopi galicyjscy nietylko zaprzestali oddawać się wielkiemu przemysłowi, ale i drobny, domowy, oraz rękodzieła zupełnie za-

niedbali na korzyść mieszkańców miast i miasteczek, a jedynie w ostatnich latach małym handlem zaczynają się zajmować, utrzymując po wsiach sklepiki chrześcijańskie Kółek rolniczych.

Wreszcie mówił dr. Bujak o stanie oświaty wśród ludu i dowodził, że stoi ona jeszcze bardzo nizko — czego dowodzi bardzo mała liczba dzieł dla ludu naszego wydawanych, oraz niewielki zapał wieśniaków do czytania. Lud szuka — zdaniem mowcy — w książce przedewszystkiem rozrywki, więc czyta najchętniej opowieści historyczne. Znacznie mniej ceni książki pouczające, rozszerzanie wiadomości pożytecznych mające na celu. Co do bibliotek i czytelń bezpłatnych po wsiach, to uważa je dr. Bujak za mało dla naszych wieśniaków odpowiednie, bo tylko mało gdzie znajdują się przy nich kierownicy, którzy umiejętnie czytelnikom dobre dzieła podsunąć potrafią. Również byłoby bardzo pożądanem, aby młodzież wiejska zaraz po ukończeniu obowiązkowej nauki w szkole ludowej korzystać chciała z wypożyczalń bezpłatnych i przez rozumne czytanie dalej się kształciła.

Uznania godną rzeczą zaś jest, iż dość znaczna ilość chłopów daje dziś synom swym wykształcenie wyższe, dowodem czego np. to, że na uniwersytecie krakowskim w ostatnich latach trzy części studentów była pochodzenia chłopskiego.

Nakoniec, a to najważniejsze, szerząca się wśród ludu oświata uczyniła z nich nawskróś narodowy pierwiastek. Podczas gdy przed laty 30 jeszcze większość galicyjskich chłopów uważała się za „cesarskich“, a względem swoich rodaków wrogo była usposobioną — dziś nietylko, że ogół jest doskonale uświadomiony narodowo, ale i szczerych, gorących patryotów między wieśniakami jest bardzo wielu, którzy, czując się Polakami, dla ziemi swej i idei ojczystej, pracują i żyją jedynie! *M. T. Bł.*

Wychodźtwo. Z Wrocławia donoszą: W ubiegłym miesiącu przejeżdżało przez Wrocław 30.000 robotników z Królestwa Polskiego i Galicyi, szukających pracy w dalszych okolicach Niemiec.

Bohaterski czyn robotnika. Dnia 4 kwietnia w południe, w miasteczku Wielkie Oczy zapaliła się chałupina biednego zarobnika i odrazu stanęła w płomieniu. A znajdowała się tam w tej chwili cała rodzina wyrobnika z wyjątkiem jego samego, który był na robocie. Rodzina, składająca się z żony, od dwóch lat kaleki, nie mogącej się podnieść o własnych siłach i czworga drobnych dzieci.

Najbliżsi sąsiedzi i ci, którzy przypadkiem przechodzili tamtędy, widzieli pożar, słyszeli krzyk dzieci i błagalne wołanie matki, by ją pozostawić na pastwę płomieni, a dzieci ratować, lecz nikt z nich nie miał odwagi rzucić się w ogień, który już drzwiami zaglądał do izby. Jeszcze minuta, a dach runie i pogrzebie pięć ofiar. Z tej jedynej minuty bez chwiil namysłu skorzystał młody zarobnik, Jakób Palczak, który, ujrzawszy z okna swojej chaty, co się dzieje, wyleciał, bez namysłu rzucił się w palące drzwi, w izbę pełną już dymu i rozbiwszy okno, począł niem bezwładną kobietę i dzieci, których koszulki i włosy poczynały się palić, wyrzucać na podwórze. Trwało to krótko, ale gdy bohater, wyratowawszy pięciu ludzi, sam oknem wyskoczył, palił się cały i byłby spłonął jak pochodnia, gdyby nie rzadka przytomność umysłu, z jaką, wyskoczywszy z gorejącego domu, rzucił się w sadzawkę, znajdującą się w pobliżu.

Życiu jego zagrażało przez parę dni poważne niebezpieczeństwo. Twarz i ręce ma tak strasznie poparzone, że długie upłyną tygodnie, zanim oczy jego będą mogły bezkarnie spojrzeć na świat, a ręce wziąć się do pracy.

Palczak jest ojcem dwojga dzieci, które skutkiem choroby ojca przymierają głodem.

Nowa katastrofa w kopalni. Jeszcze ziemia nie pokryła ofiar strasznego wypadku w Zabrzu, jeszcze nawet nie wydobyto wszystkich ofiar z pod zawalisk, a już znów rozszedł się okrzyk grozy po Górnym Ślązku. Śmierć koścista zawitała w podziemiach kopalni w Wirku, żądając nowych ofiar.

W Wielką Sobotę w nocy, gdy zegar wskazywał właśnie godzinę 12-tą, rozległ się gwałtowny huk w podziemiach kopalni „Błogosławieństwo Boże“. W tej chwili też już wszyscy wiedzieli, że stać się musiało coś strasznego.

Pracowało tam 8 ludzi nad rozstrzelaniem węgla. Pracowali oni nowym wiertaczem za pomocą ścieśnionego powietrza, przyczem — jak jedni mówią — natrafili w węglu na nabój dynamitowy, który tam był pozostał od dawniejszego rozstrzelania, a teraz dopiero pod naciskiem wiertacza wybuchł. Jak inni twierdzą, zapaliły się i wybuchły zapasy materyałów wybuchowych, które pracujący tam górnicy mieli pod ręką do rozstrzelania węgla.

Skutek wybuchu był straszny. Zawarte prawdopodobnie w palącym się pyle węglanym gazy tak strasznie popaliły nieszczęśliwych ludzi, że kilku z nich, gdy ich wydobyto na powierzchnię, prosiło i błagało swych kamratów, aby ich dobili i uwolnili od okropnych boleści. Odwieziono ich do lazaretu w Bielszowicach, lecz poparzenia, jakie odnieśli, były tak niebezpieczne, że z biedą dwóch można było utrzymać przy życiu. Pierwsi czterej górnicy są żonaci.

W iluż to więc domach zamiast śmiechu i wesołości podczas Świąt był płacz i rozpacz; smutna to była Wielkanoc. Dużo, dużo łez popłynęło w tych dniach w Zabrzu i Wirku.

Pogrzeb ofiar katastrofy w Zabrzu, gdzie, jak wiadomo, zginęło 20 górników, odbył się dnia 14 kwietnia o godzinie 2 po południu przy udziale olbrzy-

mich tłumów, które pospieszyły ze wszystkich okręgów kopalnianych, aby swym towarzyszom oddać ostatnią przysługę. Trumny ofiar tonęły wprost pod kwiatami i wieńcami, otoczone złamanemi boleścią rodzinami. Na stojące obok siebie trumny ojca i syna rzuciły się z rozpaczą matka i młoda żona, niezdolne do płaczu, gdyż wszystkie łzy już wypłakały. Tam gromadka dzieci tuli się do zimnej trumny, mieszczącej szczątki ojca, żywiciela, i rozdzierającym serce krzykiem chce go z powrotem przywołać do życia. Krzyk i płacz się trochę uśmierza, gdy zjawia się duchowieństwo z całego Zabrza i okolicy. Rozlega się śpiew pogrzebowy, a wreszcie wchodzi 120 górników, aby wynieść swych nieszczęśliwych towarzyszy na czekające przed domem wozy. Znów rozległ się jęk, lament i płacz — jeszcze ostatni uścisk drogiej trumny, jeszcze ostatnie pożegnanie. Od szpitala oddzieliły się zaraz 4 mniejsze pochody, odprowadzające w towarzystwie oddziałów górniczych i wśród dźwięku muzyki, 6 nieszczęśliwych ofiar do miejscowości rodzinnych.

Reszta rozpoczęła pochód, 14 wozów, 14 trumien, pokrytych kwiatami, otoczone rozpaczającemi rodzinami, szeregi poważnie kroczących górników i towarzystw z pokrytemi krepą sztandarami, niezliczone tłumy ludu, smętne dźwięki marszów żałobnych, granych przez liczne kapele górnicze, a ponad wszystkiem unoszący się głuchy, żałobny głos bijących dzwonów — wszystko to złożyło się na obraz wspaniały, lecz straszny, tak jak straszną była śmierć ofiar w podziemiach. W kościele w szeregu ustawiono 14 trumien przed wielkim ołtarzem. Nastąpiła żałobna przemowa i błogosławienie trumien, a następnie złożenie na miejscowym cmentarzu.

O katastrofie w kopalni w Gliwicach (na Górnym Śląsku) donoszą szczegóły, z których okazuje się, iż katastrofa ta przybrała o wiele większe rozmiary, niż z początku przypuszczano. Wedle ostatecznych obliczeń bowiem skutkiem katastrofy zginęło 19 górników, 8 odniosło ciężkie rany, 2 zaś dotychczas jeszcze nie odszukano, najprawdopodobniej również stracili życie.

O przyczynach katastrofy krążą najsprzeczniejsze wiadomości. Urzędowo donoszą, iż przyczyną katastrofy nie był wybuch prochów, lecz jakieś dotąd „niewyjaśnione“ żywiołowe zjawisko. Roboty około oczyszczenia szybu trwały długo.

Pożar. Z Cieszanowa donoszą: W gminie Płazowie wybuchł groźny pożar, który zniszczył doszczętnie 18 gospodarstw włościańskich. Szkoda wynosi 20.000 koron i tylko na bardzo nieznaczną kwotę była ubezpieczona. Przyczyną pożaru była zabawa dzieci zapałkami.

Aresztowania w Warszawie. W środku Wielkiego tygodnia głównie w nocy ze środy na czwartek, uwięziono w Warszawie i osadzono w cytadeli mniej więcej 150 osób. Zaraz potem zaczęto przywozić z prowincyi uwięzionych i wszystkich zamknięto w cytadeli. Oczywiście była jakaś obława, ale na kogo, dotąd napewne niewiadomo.

Wystawa powiatowa „Kółek rolniczych“. Na walnem Zgromadzenin „Kółek rolniczych“ jasielskich postanowiono urządzić w d. 8 i 9 lipca b. r. wystawę powiatową, połączoną z nagrodzeniem koni, bydła domowego itp. Komitet wystawy wzywa okolicznych mieszkańców do licznego udziału.

Od paru tygodni grozi Europie poważne niebezpieczeństwo wielkiej wojny, której powodem może stać się zamięszanie, czyli tak zwane rozruchy na półwyspie Bałkańskim. — W państwie tureckiem bowiem — jak wiadomo — żyje bardzo wiele narodów chrześcijańskich, które od pięciu wieków ujarzmione przez muzułmanów, dziś coraz niechętniej dźwigają to brzemię niewoli. Ponieważ w ciągu 19-go stulecia kilka z takich narodów t. j. Grecy, Bułgarowie, Serbowie, Rumuni i Czarnogórcy zdołali się z pod władzy Turków wyswobodzić i samoistne państwa założyć, więc obecnie Albańczycy do tego samego dążą i z Turkami walkę rozpoczynają. Czynią to jednak nieroztropnie, bo zamiast o pomoc do mocarstw europejskich się udać, oni ich przedstawicieli czyli konsulów zaczepiają. I tak bandy albańskie napadły przed świętami wielkanocnemi na miasto Mitrowicę, przyczem w walce żołnierz turecki konsula rosyjskiego postrzelił tak nieszczęśliwie, iż ten zmarł wkrótce potem. Obrażona Rosya zwraca się więc do Turcyi o odszkodowanie — a jeżeli sułtan nie uczyni zadosyć jej żądaniu, gotowa wybuchnąć wojna najpierw między Rosyą a Turcyą, w którą to wojnę wmięszają się inne państwa i wielkie nieszczęście na całą Europę sprowadzą.

Handlarze żywym towarem. W Paryżu stanęła przed sądem banda handlarzy dziewcząt. Na czele jej stał niejaki Rigal, właściciel browaru piwa w Bois de Colombes pod Paryżem, należący do najwybitniejszych obywateli tamtejszych i bardzo szanowany. Główny jego pomocnik, niejaki Dumortier, odgrywał rolę uwodziciela i zapędzał dziewczęta w sieci handlarzy. Na wstrętnym tym interesie zarabiał ogromne sumy. Trzecią w tej spółce osobistością była niejaka Bretonowa, siwowłosa już kobieta, mająca wszelkie pozory poważnej niewiasty. Odwiedzała szpitale paryskie i poszukiwała tam dziewcząt samotnych, leczących się. Wobec dziewcząt takich Bretonowa odgrywała rolę osoby dobroczynnej i tkliwej, opiekowała się niemi czule i obiecywała im zajęcie po wyjściu ze szpitala. Gdy dziewczęta, zwabione obietnicami, udawały się do niej, wpadały tam w ręce handlarzy. Banda miała stosunki „handlowe“ z całym światem. Za dziewczę niepełnoletnie płacono jej stałą cenę 3

tysiące koron. Sąd skazał Rigala na rok, a Dumotiera i Bretonową na 2 lata więzienia.

Dziecko w paszczęce lwa. Dzienniki amerykańskie donoszą: Straszny a ciekawy zarazem wypadek zdarzył się w górach kalifornijskich, niedaleko miasta Pomolo w Stanach Zjednoczonych Ameryki. W głębokim skalistym jarze, o 2 mile od Pomolo, mieszkał osadnik James Bearon. W nieobecności męża, który pracował w polu, pani B. wyszła na podwórze, a gdy wracała do domu, spotkała we drzwiach ogromnego lwa amerykańskiego, wynoszącego w paszczęce 10-miesięczne jej dziecko. Zrozpaczona matka rzuciła się z krzykiem na zwierza, który, przestraszony jej odwagą, puścił dziecko na ziemię, a sam cofnął się napowrót do domu i skrył w ciemnej spiżarni. Kobieta zatrzasnęła prędko i zaryglowała drzwi, przywołała męża, a ten już łatwo uśmiercił napastnika. Zwierz był ogromny, mierzący 9 stóp długości. — Dziecko wyszło z tego wypadku zupełnie nieuszkodzone.

Starożytne cmentarzysko. Z Lubelskiego donoszą nam: W N a ł ę c z o w i e, miejscowości leczniczej pod Lublinem, znaleziono groby z przed 3000 lat, kiedy jeszcze nie znano użycia metalów, a przynajmniej do tej okolicy kruszec nie zawitał. Groby te budowane są z kamienia wapiennego i nakryte tymże kamieniem. Ozdobniejsze mają po rogach na wierzchu głazy. W niektórych zachowały się jeszcze kości — w innych ślad zwłok został tylko w czarnej ziemi, która idzie żyłą wśród żółtej gliny. Znaleziono przedmioty takie, które ludzie uczeni zaliczają do bardzo rzadkich. Dotychczas odkopano: siekierę kamienną szlifowaną, nóż, dłuto i igłę, czy też szydło kamienne, nóż i igłę kościane, dzbanuszek gliniany i kilka paciorków kościanych, z których jeden misternej roboty, bo od zewnątrz do środka ma otwory jak w drabince. Groby są wąskie: 16—18 cali szerokości. Jest to całe cmentarzysko, podobno z tej epoki pierwsze w gubernii lubelskiej. Jeden grób przeniesiony zostanie do parku zakładowego, jeden zostanie na miejscu, zachowany na polu i okryty dachem, jako dziwny zabytek.

Napady dzikich na polskie osady w Brazylii. Z Kurytyby donoszą: Dzięki opieszałości rządu, dzikie plemiona Botokudów od pewnego czasu zaczynają niepokoić polskich osadników na linii Moema, mordując ludzi i podpalając domostwa. Przed dwoma tygodniami napadli na dom kolonisty Nepla w liczbie przeszło stu i w nieobecności męża poranili w okropny sposób żonę, idącą po wodę do zdroju, potrzaskali jej głowę pałkami i przetrącili prawą rękę w trzech miejscach. Nieszczęśliwa żyje, lecz mało jest nadziei utrzymania jej przy życiu. Podczas napadu znajdowało się troje dzieci w domu, z których dwoje ukryło się pod snopkami nagromadzonego tam żyta Takie jest przypuszczenie, albowiem po pożarze domu, który Botokudzi podpalili, znaleziono ich opalone kości. Trzeciego szkieletu nie odszukano, więc nie podlega wątpliwości, że dzicy uprowadzili dziecko. W kilka dni później Botokudzi puścili z dymem trzy stodoły kolonistów, a nadto skradli kilkanaście świń, które następnie bez obawy o odwet ze strony kolonistów, opodal w lesie wśród piekielnej wrzawy piekli i jedli. Rozzuchwalona dzicz od tego czasu niepokoi mieszkańców Moemy, rzucając kamieniami do domów i stawiając w nocy krzyże ogromnej wielkości przed drzwiami poszczególnych chałup. Koloniści, nie mający po większej części broni palnej, schodzą się na noc po kilkunastu z żonami i dziećmi do jednego z sąsiadów, by w ten sposób umknąć niebezpieczeństwa napaści.

Wobec tego Rusini tam osiedleni noszą się z myślą wyemigrowania, a wielu z nich wysprzedaje już dobytek.

W sprawie cholery drobiu. Chcąc uniknąć zarażenia, należy zapobiegać stykaniu się drobiu zdrowego z chorym, z jego różnymi odpadkami, wreszcie z miejscami — a więc i drogami, pastwiskami, potokami, kałużami i t. p. — na których chory drób się znajdował. Cholera dotyka przeważnie kury, indyki, gęsi i kaczki. Znamionują jej wybuch nagłe wypadki śmierci. Zwierzęta zarażone smutnieją, jeżą pierze, opuszczają skrzydła, wymiotują i cierpią na cuchnącą biegunkę. Odchody są z początku gęste i biało-żółte, później śluzowate, wodniste i zielone.

By ustrzedz drób od zarażenia, należy unikać kupowania obcego drobiu, zwłaszcza przywożonego z zagranicy; odpadki drobiu obcego, zabitego lub użytego w gospodarstwie domowem (w kuchni), należy usuwać, nie należy zaś puszczać na drogi, pastwiska i wody, na których trafia się drób obcy, ani wpuszczać handlarzy drobiu w obejścia. W razie dokupienia drobiu obcego należy przez 6—8 dni trzymać go osobno i po upływie tego czasu, tylko wtedy można go złączyć z resztą stada, gdy w czasie tym nie zdarzą się wypadki choroby. Jako środek ochronny służy także szczepienie (zwłaszcza według łatwego i taniego systemu Jessa).

Lekarstwa choremu na cholerę drobiu nie pomagają i choroba kończy się z reguły śmiercią. Dlatego najlepiej natychmiast wybić cały drób chory, lub przynajmniej oddzielić go od zdrowego, a ten ostatni podzielić na kilka mniejszych partyj, nie stykających się z sobą. W każdym razie drób chory i zdrowy powinien mieć o s o b n e naczynia do jadła i picia.

Zabity lub zdechły drób chory należy z wszystkiemi jego częściami (a więc i z piórami) palić lub grzebać na ściernisku na metr głęboko, po przykryciu warstwą wapienną.

Odrażanie po wygaśnięciu zarazy najlepiej przeprowadzić w następujący sposób. Wszelkie odpadki

i śmiecie należy spalić lub tak zagrzebać, jak zdechły lub zabity drób chory. Podłogi, drzwi, ściany, naczynia, banty należy myć dokładnie ługiem sodowym (3 klg. sody do prania na 100 litrów wody); przedmioty z drzewa zniszczone lub małej wartości najlepiej spalić. Podłogę z ziemi lub piasku należy skopać na 10 ctm., a dobyty materyał wywieść i zagrzebać tak, jak odpadki i śmiecie. Wyczyszczone stajnie należy dokładnie wywietrzyć a potem ściany ich, drzwi, podłogi i t. d. powlec mlekiem wapiennem (5 klg. wapna żrącego na 100 litrów wody).

Jakie jest najlepsze wędzidło dla konia roboczego? Najlepsze wędzidła dla koni roboczych są gładkie, grube, z kolankiem w środku. Wygięte, kańczate wywierają na zagięcia wargowe, na język i na szczęki za silny nacisk, dlatego używać ich można tylko na bardzo krnąbrne i twarde konie. Skaleczenia i przecięcia na języku zjawiają się łatwo u koni przy używaniu wędzideł bez kolanka środkowego, są one zawsze bardzo sztywne, a prócz tego przy wielkiej objętości języka obcierają go nadmiernie. Proste wędzidło przy ściąganiu tłoczy najpierw na język i może łatwo go uszkodzić.

Ściany spleśniałe w oborze. W pewnej większej oborze zdechły w roku zeszłym dwie półroczne jałówki po dwudniowem zapaleniu płuc. Reszta cieląt pozostała zdrowemi, a część krów kaszlała bardzo silnie. Przy dokładniejszem zbadaniu obory znaleziono, że ściany i sufit powleczone były grubą warstwą pleśni. Dokładne wyczyszczenie i pobielenie sprawiło, że kaszlące zwierzęta przy silnem odżywianiu i poile z siemienia lnianego bez szczególnego weterynarskiego leczenia wkrótce wyzdrowiały.

Środek na pasożyty u psów polega na tem, że dwa razy tygodniowo czyści się psa szczotką, którą się krótko przedtem konia wyczyściło. — Drugi środek robi się w sposób następujący: Wlewa się 20 gramów benzyny w 160 gram. wody i dodaje się 10 gram. mydła czarnego. Płynem tym nasyca się szmatę i wyciera się dokładnie kilka razy psa.

Drzewka owocowe w pobliżu kurników. Miejsca pod kurniki zalecane są przedewszystkiem suche i zaciszne, budynki obszerne i widne z dobrem przewietrzaniem, grzędy odpowiednie do wielkości kur.

Ażeby ochronić kwietniki, truskawki i wogóle ogrody od szkód tych ruchliwych stworzeń, sadzić trzeba drzewka owocowe na dziedzińcu, w bliskości kurników. — W czasie upału i raptownego deszczu ptaki te kryją się chętnie pod osłonę drzew. Kury, niszcząc owady spadające z drzew, zapewniają tem samem zwiększony zasób owoców roku następnego.

Drzewa śliwkowe są do tego celu najodpowiedniejsze.

Po mrozach. Na czulszych drzewach młodych owocowych mogą być przemarznięte młode gałązki. Należy je na wiosnę poodrzynać aż do zdrowego. Rany, zadane od mrozu na korze drzew, która w tych miejscach jest przyschniętą, najlepiej zasmarować maścią ogrodniczą i owinąć perkalem, albo też na maść nalepić kawałki papieru — a rany się pod maścią pogoją. Można też całą korę suchą nożem wyciąć, brzegi rany do zdrowego wyrznąć i dopiero maścią posmarować.

Krzewy i drzewa, całkiem zmarznięte, trzeba przyciąć aż do tego] miejsca, które było śniegiem okryte, jeżeli aż tak daleko zmarzły lub tylko do części zdrowej o ile zmarzły niecałe. Tę część odnajdujemy, robiąc nacięcia na korze nożykiem — kora zdrowa jest biało-zielonawa, przemarzła jest brązowa lub zczerniała.

Stosuje się to do drzew owocowych i ozdobnych jednakowo.

Odnajdywanie wody w ziemi. Częstokroć kopiąc studnię nie możemy natrafić na wodę, lub ją zbyt głęboko znajdujemy, wskutek czego tracimy koszta wyłożone. Aby się przekonać, czy woda się w gruncie znajduje, należy wziąć wapna wypalonego, siarki, octanu, miedzi i gumy, po 5 łutów, sproszkować, zmieszać, wsypać do nowego polewanego garnka, przykryć 5 łutami wełny i przykrywą polewaną. Po zważeniu garnka, zakopać go w ziemi na stopę głęboko i przysypać ziemią, po upływie 24 godzin garnek wydobyty powtórnie zważyć. Jeżeli garnek straci na wadze, wtedy wody spodziewać się nie można, jeżeli zyska, studnię można na pewno kopać.

Nie powrócił.

Blady młodzieniec nędzny zbiedzony
Żegna ze łzami ojczyste strony;
Z rodzinną wioską, słonkiem i niebem
Żegna się, idąc we świat za chlebem.
Żegna pochyłą stuletnią chatkę,
Swoją jedyną staruszkę matkę;
Cieszy ją — nie płacz matko ma droga,
Bo losy moje są w ręku Boga.
Patrz matko moja, ja się nie smucę,
Bo gdy na zimę do cię powrócę,
Przyniosę całą setkę pieniędzy,
Nie będziesz cierpiała głodu i nędzy.
A jak mi Pan Bóg poszczęści w świecie,
To się dziś przyznam, o czem nie wiecie;
Otóż, gdy nieco zarobku złożę,
Pojmę Marysię, co służy w dworze.
Bo wy matulu o tem nie wiecie,
Ja ją tak kocham, jak moje życie.
Że ona moja wiedzą już wszędzie —
Ona tu o was pamiętać będzie.
Z tego, co dotąd w dworze służyła,
Już sobie całą stówkę złożyła;
Ja dwie zarobię, spłacę jej brata,
I będą nasze, dwa morgi, chata.

I wyszedł z chaty chłopczyna blady,
Pożegnał matkę i swe sąsiady,
Żałośnie spojrzał na dwór i chatkę,
Gdzie miał kochankę i starą matkę...
Niedługo potem w czwartą niedzielę,
Przyszedł list, a z nim radości wiele;
Pisał Jaś, niech się matka nie smuci,
Że zdrowy, z dobrym zarobkiem wróci.
Od tego czasu przeszedł czas długi,
Cztery miesiące, przyszedł list drugi,
Lecz nie był ręką Jasia pisany,
O bo już nie żył Jasio kochany.
„Przez nieostrożność, czy też przypadkiem,
(Pisał ten, co był nieszczęścia świadkiem)
„Pogruchotany kołem maszyny
„Zakończył Jaś życie za dwie godziny..."

Benczyn, 2 lutego 1903.

Jantek z Bugaja
parobek wiejski.

PYTANIA i ODPOWIEDZI.

Od Przemyślan. O jakże jestem wdzięczna moim Rodzicom za to, że mnie posyłali do szkoły i do nauki zachęcali. Ja zaś naukę i książki pokochałam całem sercem. Oto dziś chociaż jestem już zamężną kobietą i matką maleńkiej córeczki, to jednak, gdy mi tylko czas pozwoli, biorę do ręki jaką książkę lub ulubioną naszą *Przodownicę* i czytam, aż się rozlega po izdebce, a obecni w tej chwili zaprzestają głośnych rozmów, tylko z uwagą słuchają.

Może niejednemu bogaczowi w dostatkach, nie upłynęły tak przyjemnie długie zimowe wieczory, jak nam w domu rodzinnym, wpośród nieustannej pracy i ubóstwa. Może niejeden, na pozór zamożny gospodarz, ale żyjący w ciemnocie, bez żadnej wiedzy i oświaty, gryzł się i nudził podczas smutnych zimowych wieczorów, nie mając żadnego zajęcia ani rozrywki.

Ale u nas, z łaski Pana Boga, schodzi czas bardzo przyjemnie i wesoło.

Mąż mój, który z zawodu jest szewcem, ciągle zajęty bywa swem rzemiosłem. Lecz wieczorem, gdy się już wszyscy poschodzą, a usiadłszy, każdy na swojem miejscu, jedni coś naprawiają koło bielizny, lub ubrań, drudzy strugają ziemniaki, dzieci się uczą lub bawią spokojnie, ja siadam przy lampie z książką lub gazetką w rękach i czytam im różne ciekawe historye albo wierszyki, a wszyscy z uwagą słuchają. A ukochana nasza *Przodownica* podaje nam także piękne powiastki i rady lekarskie oraz gospodarskie przepisy.

Zasługą Twoją wielką, ukochana *Przodownico* jest i to, że rozwijasz w nas miłość do polskiej mowy. Z boleścią trzeba przyznać, że nawet i tu język polski jest bardzo zaniedbany, bo nawet Polaków jest dużo takich, co w domach swoich rozmawiają po rusku. Przez Ciebie, Droga *Przodownico*, poznajemy sławnych poetów, co układają różne za serce porywające wiersze. Dopiero drugi rok, jak prenumeruję naszą ukochaną *Przodownicę*, a już dużo pożytecznych wiadomości przybyło do naszej duszy. A nawet i ci starsi, którzy czytać nie umieją, słuchając mego czytania, chcą wszystko rozumieć i sami nad niektórymi rzeczami dużo się zastanawiają i mówią, że przedtem nic o tem nie wiedzieli.

Żal mi tych ludzi, którzy sami czytać nie umieją, ale i dzieci do szkoły nie posyłają. Mam przekonanie, że człowiek w tych czasach bez nauki, to jest jak posąg bez życia. Taki człowiek patrzy, a nie widzi, słucha, a nie słyszy i nic nie rozumi.

Dnia 25 stycznia b. r. odprawione zostało u nas, w Przemyślanach solenne nabożeństwo za poległych powstańców w r. 1863. Po nabożeństwie, w licznej procesyi, z patryotyczną pieśnią na ustach: „Boże coś Polskę", wyruszyliśmy wolnym krokiem na cmentarz w celu poświęcenia tam krzyża pamiątkowego. Po odbyciu i tej ceremonii, czcigodny nasz ks. proboszcz opowiadał ludowi o tem powstaniu i tłumaczył, jaki cel powstanie to miało. Potem upominał Polaków, aby nie zaniedbywali polskiego języka i polskich obyczajów, zachęcał młodzież polską i ruską i przypominał, aby nie zapominała swoich obowiązków względem ukochanej Ojczyzny, a w końcu błogosławiąc wszystkich, dodał: „Tylko w zgodzie i miłości braterskiej dojdziemy do tego, że naszą drogą a na trzy części rozdartą Ojczyznę wyrwiemy z mocy naszych nieprzyjaciół!... A tu ciemny naród, jeszcze się dobrze za bramę cmentarną nie przesunął, a już szemrze:

„Wtedy Polska Polską będzie, aż ten krzyż, co go dziś poświęcali w liście się rozwinie i na nowo zazieleni".

Taka tu jeszcze dzicz i ciemnota panuje pomiędzy ludźmi na tej Czerwonej Rusi. Rusini buntują się przeciw Polakom, odgrażają się, że będą nożami „ryzały mazurów". A więc Polacy, którzy bojaźliwsi, sprzedają swoje posiadłości i powoli uchodzą w inne strony. Smutno i bardzo smutno jest w naszych okolicach, a to dla braku oświaty i wiary żyją ludzie jak nierozumne zwierzęta.

Przeto was proszę, wy rodzice, posyłajcie dzieci wasze do szkoły, nie żałujcie tego czasu i tych pieniędzy na książki i zeszyty. Bo nauka, to skarb wielki, tego nikt nie odbierze. Wy zaś, kochane

dziateczki, starajcie się waszym rodzicom za ich staranie i pracę wynagrodzić pilnością w nauce i pracy. A kiedyś później nie żałujcie grosza na pożyteczne książki i gazetki. Nie wierzcie tym, co wam mówią, że gazetki tylko dla panów, bo z gazety, kto tylko chce czytać, każdy nabywa wiedzy i oświaty. Ciemnota, pijaństwo i próżniactwo, to z majątku obdziera i na nędzę sprowadza.

Ogień może dom i sprzęty obrócić w perzynę,
Woda, może zabrać rolę, zamulić jarzynę,
Wichry mogą zniszczyć sady, a grad wybić zboże,
Zaraza może wygubić bydło najzdrowsze w oborze,
Złodzieje dobrać się mogą do twoich pieniędzy,
Wojna może przyprowadzić do największej nędzy
Czego ci nikt nie odbierze? Co zbawi od głodu?
Tylko czegoś się dobrze nauczył za młodu!!!

Marya Cząstka w Borszowie.

Złoczów. W powiecie złoczowskim prowadzi z wytężeniem wszystkich sił pracę uświadomienia, unarodowienia i oświecenia ludu polskiego Towarzystwo „Szkoły ludowej". Koło tutejsze założyło w przeciągu 3 miesięcy 14 czyteln, zaopatrzonych w gazetki i książki, a wykłady, urządzane w nich w każdą prawie niedzielę, mają licznych i chętnych słuchaczy. Jak skuteczną i zdrową jest ta praca, okazało się na uroczystem Święconem, które urządziło ze składek na ten cel zebranych Towarzystwo „Szkoły ludowej". 19 kwietnia wieczorem zapełniła się tutejsza sala teatralna delegowanymi przez każdą czytelnię włościanami, których liczba dochodziła do 100. Ks. kanonik Stachów poświęcił jadło i zagaił zebranie, poczem przemówiło kilku członków Towarzystwa i przypomniało zebranym o obowiązkach Ojczyzny, obrządku i języka. Następnie zabrali głos włościanie. Wieśniak Skorny z Woroniaków przedstawił, jak piękne owoce wydała praca w czytelniach i stwierdził z radością, że ukochana mowa polska, której jeszcze niedawno wstydził się nasz lud w tych stronach, poczyna wracać do swoich dawnych praw. Prosił on, podobnie jak włościanin Michalewski ze Skwarzawy, by nie ustawać w pracy i nie opuszczać czytelń, które już zdziałały tyle dobrego. Sołtowski z Folwarków nawiązał swe przemówienie do mowy jednego z członków Towarzystwa i wyraził serdeczne życzenie, by wkrótce nadszedł dzień zmartwychwstania i odrodzenia narodu. Włościanin Mikołaj Stojanowski z Bieniowa zaklinał w gorących słowach swoich braci, ażeby nie zapominali o tem, co winni swojej Ojczyźnie, by czuli się Polakami i mówili zawsze i wszędzie po polsku, gdyż w języku spoczywa moc narodu. Przemówienie swoje zakończył okrzykiem: „Niech żyje Ojczyzna", poczem za jego przykładem zaintonowali wszyscy hymn: „Jeszcze Polska nie zginęła". Do solidarności i zgody zachęcał włościanin Kapi, zaś Węgrzyn z Broniszyna dziękował mieniem swojej czytelni za trudy koło niej pokładane, stwierdził następnie, że kierownicy ludu polskiego prowadzą do miłości i zgody, w końcu podniósł zasługi p. Obertyńskiego ze Stronibab, który sobie pracą koło czytelni przez siebie założonych, swoją życzliwością i dobrocią pozyskał miłość całego powiatu Na zakończenie przemówił zastępca przewodniczącego Towarzystwa „Szkoły ludowej", wzywając do wytrwania w pracy, miłości ziemi rodzinnej i zgodnego działania wszystkich warstw narodu.

Uroczystość miała nastrój poważny i podniosły. Przemówienia przeplatały pieśni nabożne i patryotyczne, odśpiewane przez włościan i inteligencyę. — W przerwach prowadzili goście ożywione rozmowy z prelegentami swoich czyteln, a panie i młodzież uwijały się między stołami, usługując i zachęcając do jedzenia. Późnym wieczorem poczęli się włościanie rozchodzić, żegnając się serdecznie z tymi, którzy niosą między nich oświatę i miłość bratnią. Piękna ta uroczystość długo pozostanie w ich pamięci i niemało zapewne przyczyni się do zacieśnienia tych serdecznych węzłów, które przed niedawnym czasem zadziergnęło tutejsze Koło Towarzystwo „Szkoły ludowej" między włościaństwem a inteligencyą miejscową.

Książeczkę o chorobach serca, jak również dzieła o „Pszczelnictwie", dzieła historyczne, podróże i opowiadania wysłała administracya Szan. Czytelnikom, którzy o ich wypożyczenie prosili.

Cennik młynków do mielenia kości, zboża, wysyłamy Szanownemu L. Starczewskiemu, zawiadamiając i innych Szanownych Czytelników, że takie młynki wyrabia p. Edmund Szmeja w Białej (w Galicyi). Każdy, ktoby sobie życzył nabyć taki młynek, może napisać do pana Szmeji i poprosić o przysłanie cennika i opisu młynków. Młynki są na rozmaite ceny i są zastosowane do celów gospodarczych i przemysłowych. Jakoto: do śrótowania i mielenia wszystkich produktów paszy, jakoteż do wyłuskiwania nasion koniczanych, do rozdrabniania wszelkich materyałów przychodzących w młynach, fabrykach skór i garbarniach, fabrykach surogatów cykoryi i fabrykach cukru, browarach, gorzelniach, do mielenia kości, soli, drzewa, zboża itd., do wytworzenia kaszy hryczanej, jęczmiennej siekanej, z oluskanego jęczmienia itd.

Młynki są więc większe i mniejsze, stosownie do czego mają służyć, zarówno czy do mniejszego czy większego gospodarstwa lub do fabryki. Taka maszyna powinna być w każdem Kółku rolniczem, a gdzie go niema, to panowie gospodarze powinni się złożyć na zakupno sobie takiej maszyny, któraby stałaby się wielką wygodą dla mieszkańców wioski, a przytem mogłaby przynosić jakiś dochód jej właścicielom.

Cenniki i opisy przesyła p Szmeja bezpłatnie.

M. Smereczyński podaje praktyczną i doświadczoną radę dla Wojciechowej Srokowej:

Mając jedną morgę ziemi, można ją całą zasadzić ziemiakami, a także i trocha buraków; zaś owe dwie świnie spieniężyć, a za otrzymane pieniądze kupić sobie dobrej rasy prośną lochę, którą należy karmić w ten sposób, że dobrze ugotowane ziemniaki z małą domieszką buraków wysypuje się do cebrzyka, gdzie dodaje się dwie części plewy z koniczyny lub hreczki, albo też innej miałkiej plewy, której z łatwością można dostać u zamożniejszych gospodarzy, albo we dworze. Do tego należy dodać trochę otręb albo osypki, a tak razem wszystko (umyślnie zrobionym do tego tłoczkiem) dobrze utłoczyć i zmieszać, następnie rozrzedzić nieco pomyjami i cokolwiek ciepłe podać świni do jedzenia.

Przy regularnie trzyrazowo dziennem karmieniu, w ciągu roku może mieć locha trzy razy prosięta (najmniej po 10—11 sztuk), które należy karmić tą samą karmą, lecz częściej, i zamiast pomyjami rozrzedzać tęgą serwatką z domieszką nieco kukurydzianej mąki.

Po sześciu tygodniach można już wywozić prosięta na targ, na które zawsze jest najlepszy popyt, a które można sprzedawać w parze lub pojedynczo po 14 i 15 koron za sztukę. Przy dobrem i umiejętnem staraniu po roku, można mieć czystego dochodu około (400) czterysta koron z jednej dobrej lochy, która zostanie potem za darmo.

Znam bardzo wiele ludzi, którzy za pożyczone pieniądze utrzymywali kilka sztuk loch i dorobili się w ten sposób znacznego majątku..

Co prawda, bardzo ciężka to praca i wymagająca wielkiego starania, lecz przy tak małem gospodarstwie na coś łatwiejszego i korzystniejszego zdobyć się nie można.

Jeden z Czytelników naszej gazetki, p. Zieliński, podaje niniejszem opis, jak powstała we wsi Kozowy czytelnia ludowa. Oto co pisze:

„Polską czytelnię zawdzięczamy Towarzystwu oświaty ludowej w Brzeżanach, a głównie Szanownemu p. drowi Gruszeckiemu, który niech zdrowo żyje nam! Długo musiał on nad nami pracować, bo zjeżdżał do nas parę razy, miewał przemowy i zostawił nam wiele książek, a same pożyteczne i tem zachęcił nas do założenia czytelni i kasy oszczędności Reiffeisena. Czytelnię więc już mamy choć skromną i ubogą. Ale że otwartą jest każdej niedzieli i czwartku po południu, więc schodzą się do niej gospodarze na czytanie gazet, to jest: *Ojczyzny, Przodownicy, Polaka* i *Dzwonka*; również wypożyczają książeczki. Także mamy kilkudziesięciu członków, którzy składają po 10 centów miesięcznie na cele czytelni.

Co do kasy Reiffeisena, to jest 27 członków założycieli i już podaliśmy się do Wydziału o przysłanie nam delegata. Mamy nadzieję, że z czasem każdy gospodarz chętnie do naszego Towarzystwa przystąpi, bo pozna, że takie Towarzystwo jest dla nas koniecznie potrzebne. Boć przecie oświata i oszczędność to są najlepsze dobra dla naszego ludu, bo teraz za nic stara gospodarka i stara praktyka, teraz trzeba inaczej żyć, inaczej gospodarować; trzeba umieć czytać, pisać, rachować dobrze. Ażeby mieć dobre przychody, to trzeba wierzyć temu, co się czyta w dobrych książkach. Zamiast jechać światami na zarobek do obczyzny, lepiej pilnować ziemi swojej, bo ta nasza matka da nam wszystko, czego nam potrzeba.

OD ADMINISTRACYI.

Dochodzą nas skargi, że *Przodownica*, mimo to iż regularnie jest wysyłaną, nie dochodzi rąk naszych Czytelniczek. Zdarza się również i tak, że poczta zwraca czasem pisemko z dopiskiem, iż „adresat nie przyjmuje“ — tymczasem my otrzymujemy reklamacye od Czytelników i Czytelniczek z zapytaniem, dlaczego nie wysłano *Przodownicy*.

Skarżą się również Czytelniczki nasze, iż ktoś inny gazetkę z poczty im zabiera. — Jest to jak i tamto nadużycie, za które odpowiedzialność w pierwszym rzędzie spada na pocztę. Poczta powinna bowiem gazetkę doręczać do własnych rąk Czytelnika, albo też do rąk posłańca gminnego. Jeżeli więc któryś z Czytelników naszych nie dostanie gazetki, niech nas natychmiast o tem uwiadomi! Przeciw pocztom, na których popełnia się nadużycia z gazetkami — wystąpimy zaraz z zażaleniami do dyrekcyi poczt.

Zawiadomienie czyli reklamacyę o nieotrzymaniu gazetki wysyłać należy na kartkach nieopłaconych.

Jednocześnie zawiadamiamy, że Nr. 1 i 2 *Przodownicy* są zupełnie wyczerpane.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.

DZIURDZIOWIE.

PRZEZ

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

(Ciąg dalszy).

— Pietrusia! — zawołał do żony kowal — zróbno dla dzidźka herbaty...

Piotr poprawił się na krześle. Lubił bardzo herbatę, choć pijał ją tyle tylko, co czasem w miasteczku, kiedy na odpust albo na targ przyjechał; we własnej chacie samowara mieć nie chciał, bo go dzidy pradzidy nie miewali.

— Oho! — zauważył — wy jak pany... herbatę sobie pijecie...

— Codzień nie pijem, ale czasem pijem — odpowiedział kowal — a co robić? wódki do gęby nie bierzem, to czasem trzeba czem innem żywot rozegrzać... I starej babuli ziele to życie przedłuża i jak gość trapi się, potraktować dobrze...

— Dobrze, czemu nie dobrze? — potwierdził Piotr i zaczął kowala wypytywać się o różne różności, których on mnóstwo wiedział, bo i kawał szerokiego świata schodził i teraz ciągle z mnóstwem ludzi, zwyczajnie jako rzemieślnik, do czynienia miał.

Przypominał się wreszcie Piotrowi cel dzisiejszych jego odwiedzin. Opowiadać tedy zaczął, jako mu ktoś sadło z komory kradnie. Obecni dziwili się i bardzo ubolewali. Zajęło ich nadewszystko pytanie: kto to taki — ten złodziej? Kowal przypomniał sobie, że wczorajszej nocy wracał właśnie z sąsiedniej wsi, do której za interesem był chodził, i widział jakiegoś człowieka, który z workiem na plecach prędko szedł pod płotami.

— A jakże on wyglądał, ten człowiek? — ciekawie zapytał Piotr. Kowal odpowiedział, że był to człowiek chudy, małego wzrostu i zdaje się, że siwy zarost miał dokoła twarzy. Piotr zadumał się, a potem rzekł:

— To zupełnie tak, jakby Jakób Szyszko...

Potem wlepił oczy w ślepą twarz Akseny.

— Ja do was z prośbą, ciotko — rzekł. — Może wy znacie jaki sposób, żeby tego złodzieja odkryć...

Baba milczała chwilę, potem powoli i z namysłem, mówić zaczęła:

— Czemu mam nie znać? znam. Weźcie sito, wbijcie w nie nożyce i niech dwoje ludzi podłoży palce pod ucho nożyc, a drugie ludzie niech mówią różne nazwiska, różne, jakie sobie tylko wspomną... Na czyje nazwisko sito zakręci się, ten złodziej... I to jest taka pewna prawda, że ja, nie raz, ale sto razy, na własne oczy widziała...

Można na sito złodzieja wywróżyć, można i na Ewangelię. To już jak gdzie... w jednych stronach na sito wróży się, a w drugich na Ewangelię wróży się... To już wszystko jedno, jak kto woli...

Piotr rękę do włosów podniósł.

— To już ja na Ewangelię wolę — rzekł, a po chwili dodał. — Zawsze to Boska rzecz jest i Boska siła...

— No, to trzeba tak samo w Ewangelię nożyce wbić... — nauczyła baba.

— Dziakuju wam, Aksena, za waszą radę.. Tylko, jak to zrobić... trzeba, żeby to kto znający robił...

— Ja wam to, dziadźku, zrobię... zrywając się z ławy, zawołała Pietrusia; — czemu nie! Ot już idę...

I już na nogi trzewiki wkładała. Nigdy do wioski bez trzewików nie chodziła. Mąż, który miał w tem przyjemność, wszelakie stroje dla niej kupował, a i jej podobało się to bardzo, że szczęściem swem popisać się mogła przed ludźmi, pośród których kiedyś najuboższą i najpośledniejszą była. W trzewikach tedy, kupnej perkalowej spodnicy, w zgrabnej, nowiutkiej siermiężce i kwiecistej chustce na głowie w kilka minut potem weszła do chaty Piotra i, przed gospodynią pokłoniwszy się nisko, w rękę ją pocałowała.

Nagle, jakby makiem posiał, zrobiło się w izbie cicho. Piotr wyszedł z komory, niosąc w ręku niewielką książeczkę w podartej oprawie i ze zżółkłemi kartami. Była to Ewangelia, którą z poszanowaniem chował na dnie skrzyni od lat wielu. Teraz oto, z poszanowaniem z komory ją wyniósłszy, w milczeniu Pietrusi podał.

Ona z kieszeni siermiężki wyjęła nożyce, które z sobą przyniosła.

Piotr przeżegnał się. Nagle, jednym zamachem, Pietrusia rozwarte nożyce w grzbiet książki wbiła i pod jedno ucho nożyc palec wskazujący podkładając, drugie Piotrowej wskazała.

— Trzymajcież, ciotko!

Piotrowa uczyniła, co jej rozkazano. Książka

na ostrzu nożyc wisząca, szeroko ku dołowi rozwierała swe stare, pożółkłe karty.

— Gadajcież teraz — zadysponowała Pietrusia — różne a różne nazwiska, gadajcie. Na czyje nazwisko Ewangelia pokręci się, ten złodziej...

— Anton Budrak? — pytającym tonem wymówiła Piotrowa. Ale książka ani drgnęła.

— Lewon Kuziauka? — zapytała potem. Ale książka pozostała nieruchomą. Nazwiska za nazwiskami wypadały z ust obecnych. Książka jednak wciąż nie odpowiadała nic. Nakoniec Piotr, który dotąd żadnego jeszcze nazwiska nie wymienił, przytłumionym swym głosem rzekł:

— Jakób Szyszko. Palec Pietrusi drgnął, tak lekko, że drgnięcia tego nietylko nikt nie spostrzegł, ale ona sama nie uczuła, a książka powolnem i zaledwie też dostrzegalnem poruszeniem dokonała małego półobrotu.

— Aha! — zawołali wszyscy. Pietrusia ostrożnie i z uszanowaniem z grzbietu książki ostrza nożyc wyciągnęła i, pochyliwszy się, nabożnie starą okładkę ucałowała Za jej przykładem poszli inni.

Potem głuche chodziły wieści o tem, co pomiędzy Piotrem a Jakóbem zaszło Podobno pierwszy, w rzadko u niego zdarzającym się, ale gwałtownym przystępie gniewu, zbił Jakóba we własnej jego chacie i pociągnięciem go przed sąd zagroził, jeżeli nie przyzna się do winy i skradzionych rzeczy nie odda. Płakał Jakób, bił się pięścią w piersi i na zbawienie wieczne zaklinał, że nie brał nic i przez zęby mruknął:

— Pan Bóg Przenajświętszy tę moję krzywdę w królestwie niebieskiem wynagrodzi..

Piotr sprawy zaniechał, ale inni mieszkańcy wsi długo zapomnieć o niej nie mogli. Nie zapomniał o niej przedewszystkiem Jakób, który odtąd ilekroć Pietrusię spotykał, spluwał na stronę i z gniewem mruczał:

— Zgiń, przepadnij, n i e c z y s t a j a siła!

Nic w świecie nie zdołałoby zachwiać w nim przekonania, że tej kobiecie moc jakaś tajemnicza i jej samej tylko znana, postępek jego wyjawiła. Nienawidził jej i zarazem lękać się zaczął. Lękać się jej też zaczęły niektóre z niewiast, a przecież były i takie, co przepadały za nią. Młodej Łabudowej, naprzykład, gdy sroga febra nią trzęsła, doradziła ona na wylęgłe kurczę spojrzeć i w tejże chwili, co prędzej, węzeł na fartuchu lub chuście zawiązać. Jak ręką obejmie — upewniała. Istotnie ujęto, jak ręką. Łabudowa, która już schnąć, szpetnieć i siły tracić zaczęła, febry się pozbyła. Inną znowu kokietę, w ciężkim połogu będącą, napoiła płynem, z dziesięciu gatunków ziół przyrządzonym, który także okazał się wielce skutecznym. Miała zawsze w chacie pełno suszonych ziół, z których każde służyło na chorobę inną. Dzieci, które dostawały konwulsyi, kładła na desce pośród koła, zarysowanego kredą, a te, które koklusz męczył, poiła sokiem rzepowym. Słowem, nieprzebraną była w środkach, zaradzających cierpieniom, najpospoliciej dolegającym mieszkańcom wsi. I nietylko znała je, ale ich udzielała zawsze z przyjemnością i chęcią wielką. Inna brałaby za to jaja, len, płótno, kury, miarki zboża i Bóg wie, co jeszcze Ona nic. Nigdy niczego w zamian rad swoich nie żądała, a gdy która z niewiast przyniosła jej kiedy cokolwiek w fartuchu, pod chustką lub nie przyjmowała. Rękę, wyciągającą się z datkiem, odpychała, mówiąc:

— Nie chcę, nie trzeba, na co mnie to? ja z życzliwości...

I była ludziom życzliwą istotnie. Bywało, gdy przez wieś idzie, a jaką biedną kobiecinę albo znędzniałe dziecko zobaczy, staje i zapytuje się: — A co to? A gdzie boli? a może to ze zgryzoty jakiej? a jaka to zgryzota? Wypytawszy się, czasem jakie ziółko albo inny sposób na ludzką biedę doradzi, a jeżeli rady nie wymyśli, to z dorosłym o biedzie jego pogada i głową pokiwa, dziecko w ramionach pokołysze, w chude ciałko pocałuje i potem już w swoją drogę idzie. Stara Aksena, słysząc ciągle, że ludzie do niej po radę przychodzą, z rok czy dwa milczała, ale potem zaniepokoiła się czegoś i na wnuczkę gderać zaczęła. Z wysokości pieca swego mówiła do niej:

— A czego ty, jak ta suka, ciągle przed ludźmi język wywieszasz? To i to pij, tak i tak zrób! Będziesz ty za to podziękowanie miała, jeszcze cię wiedźmą zrobią...

Pietrusia zamyśliła się, a po chwili z namysłem zaczęła:

— Ot widzicie, babulo, mnie zdaje się że kiedy mnie Pan Bóg szczęście dał, to ja ten świat bardzo polubiłem.. I wprzódy ja jego lubiłam, ale kiedy Michałek ze mną ożenił się, polubiłem jeszcze więcej... A teraz co? Michałek coraz lepszy... i dostatku wszelkiego przybywa, i ciągle mnie na świe-

cie lepiej i lepiej, a ja ten świat lubię więcej i więcej, i wszystko, co jest na świecie lubię... i słoneczko to Boże ciepłe, i gwiazdy te Boże jaśnieńkie, i drzewa te szumiące, i kwiaty pachnące, i ludzi wszelakich, i każde żywe stworzenie... Wszystko lubię...

Aksena chciała jeszcze gderać.

— Oj maładaja durnaja! — szeptała, lecz na bok nieco przechyliwszy głowę, pilnie nasłuchiwała, czy nie zbudzi się czasem i w kołysce swej nie zaskwierczy malutka Krysieńka? A to już ręce od przędzenia zabolały i błogo byłoby na kolanach potrzymać prawnuczkę!...

IV.

Po Stasiuku i Krysieńce urodziła się Helenka, a po Helence przyszedł na świat Jadamek, i czworo już dzieci, z których najstarsze miało lat sześć, zdrowo i wesoło hodowało się w chacie kowala, w porze owej, gdy mieszkańcy Suchej Dolny rozniecili wśród dróg rozstajnych, ogień z osinowego drzewa. Na ogień ten, pierwsza nadeszła Pietrusia Ona więc była tą duszą złośliwą i nieczystą, która w chatach kilkunastu mleko krowom odebrała.

Tu nikt zaprzeczyć nie mógł, że przeszłość potężnie wspierała chwilę obecną. To dziecko nieznane przywędrowało tu przed laty, ze starą babą, którą nie wiedzieć jaka siła, dobra czy zła, po świecie gnała. Baba widocznie kawał świata obeszła i znała tyle, ile wszystkie mieszkanki wsi, razem wzięte, nie znały. Skąd jej przyszły te wiadomości wszystkie? A potem oślepła. Czy to nie było czasem karą Bożą za jakie brzydkie postępki, których dopuszczała się kiedyś, albo za jakie stosunki z nieczystym? a toż srogie lubienie, jakie uboga dziewczyna, przybłęda, rozbudziła w jednym z najbogatszych gospodarzy, w Stepanie Dziurdzi? A toż wyjście za mąż za chłopca, który sześć lat jej nie widział, a nie zapomniał? A to odgadnięcie złodzieja? a wszystkież jej leki i inne porady?

A to teraźniejsze bogactwo kowala i jego żony? Chata ledwie nie jak domek w jakim takim szlacheckim dworze, wóz jakoby bryczka okuty, klaczka do zaprzęgu tęga, krowy, owce, wszystkiego pełno. A w chacie samowar i łyżki błyszczące i jeden i drugi biały talerz. Małaž to rzecz bogactwa takie? Skąd oni je mają? Oddawna już Rozalka Stepanowa, a za nią i wiele innych kobiet na cały głos dziwi się i wykrzykuje, że Kowalicha, jak pani jaka, harbatę w domu pije, suknie z kupnych perkalów nosi, do kościoła czasem półjedwabną chustkę na głowę zawiązuje, a on sam w spencerach chodzi, surdutach, butach pięknych, czapeczkach zgrabnych, a siermięgi i chłopskiej baraniej czapki to już na nim ani zobaczyć. Rozalka aż wścieka się, a rozlazła Paraska aż płacze, gdy zapytują się samych siebie i sąsiadek: skąd u kowala i kowalichy tyle bogactwa być może? Sąsiadka, szczególniej młoda Łabudowa, która Pietrusię bardzo lubi, wspomina coś o tem, że Michałek podobno trochę pienięd z sobą przywiózł, a zarobił je swojem rzemiosłem, że i teraz pracowity jest bardzo, i ludzie z robotami jak na odpust do niego przyjeżdżają; że kawał ziemi ma urodzajny, że Pietrusia dobrą jest gospodynią i t. d. Ale Rozalka i Paraska, a z niemi i inne kobiety wzgardliwie głowami kiwając, czort mówią — wiedźmie przez komin hrosze nosi. Ot, skąd u nich to bogactwo?

Teraz zaś stary Szyszko tryumfował.

— A co? — mówił — kto przyszedł na ogień? Kto krowom mleko odebrał?

Pietrusia tymczasem, zaszedłszy do kuźni i chwilkę z mężem pogadawszy, do domu wróciła. Przez ten dzień napracowała się w ogrodzie około pielenia buraków i kapusty, a na godzinę przed zachodem słońca wybiegła w pole, aby trochę ulubionych ziół swoich narwać. Wiedziała, że w porę jeszcze przyjdzie, aby wieczerzę zgotować.

Dokoła Akseny tymczasem skupiło się troje starszych dzieci; najmłodsze spało w kołysce. W ciszy, którą przerywały tylko oddalone stukania kowalskiego młota, chrypiał i seplenił głos ślepej baby i jak srebrne dzwonki rozlegały się cienkie głosiki dziecięce. Ona im coś, z powagą wielką opowiadała; one jej mnóstwem wykrzyków i zapytań mowę przerywały.

W tem drzwi stuknęły i po izbie rozszedł się mocny zapach ziół polnych.

— Czy to ty Pietrusia? — zapytał w zmroku głos chrapliwy i sepleniający.

— Mama! — zadzwonił dziecięcy chór.

— Wszyscy wy tutaj? — zapytała wchodząca.

— A wszyscy.

— Adamek śpi?

— A śpi.

— To i chwała Bogu. Ot zaraz ogień

rozniecę i kartofli zgotuję, com ich dziś w ogrodzie nakopała.

— Oj, dobre kartofle.. młode.. — z wyraźną rozkoszą zaseplenila babka.

— Dobre.. oj, dobre... — powtórzył dziecinny chór.

Szeroki ogień zapłonął w piecu i oświetlił izbę, w której przez upłynione lat kilka zaszły niejakie zmiany — zmiany na dobre: więcej dostatku i więcej wymysłów. Pomiędzy oknami stała komódka, a na niej dwa mosiężne lichtarze i lampka ze szklanym kominkiem. U okien firanki z kwiecistego perkalu i pachnące geranium całe w czerwonym kwiecie; za szybami szafki białe talerze, a na jednej ścianie kilka obrazków w błyszczących ramkach. Wszystko to Michałek poprzynosił do domu. Gdy tylko gdziekolwiek za interesem jakim pojedzie, zawsze coś ładnego przywiezie do domu, a potem sam z tych przybytków cieszy się jak dziecko i żonce cieszyć się każe.

Zresztą wszystkie stare rzeczy pozostały w tej izbie, tak jak i były. Ławy, stoły, statki gospodarskie, trzy krzesła z drewnianemi poręczami, krosna tkackie Pietrusi. Na krosnach tkackich Pietrusia r a d n o rozesłała i na nie wysypała z fartucha rozsypane zioła. Potem zakrzątnęła się około wieczerzy; dzieci, niby ptaki z pieca zleciawszy, biegały koło niej bosemi stopy i szczebiotały te dziwy, które im babula o zmroku opowiadała.

Sypiąc kartofle do garnka, Pietrusia żartobliwie przekomarzała się z dziećmi, na piecu stara aż zachodziła się od śmiechu, że te d u r e ń k i tak zupełnie we wszystko, co mówiła, uwierzyły.

W pół godziny potem wrócił do domu kowal. Dzieci ku niemu się rzuciły.

Michałek jedno po drugiem na ręce brał, jak piórko wysoko nad głowę swą podnosił i, pocałowawszy, na ziemi znowu stawiał. Siadając na ławie, zawołał:

— Zuzulu! zmachałem się przy robocie, mało ręce nie poodpadają! Jeść chcę.

Nigdy prawie inaczej żony nie nazwał, jak z u z u l ą, imieniem tego miłego ptaka, który wesołem kukaniem oznajmia rozkwitłą wiosnę.

— W mig będzie wieczerza! — wesoło odparła kobieta i postawiła na stole lampkę z długim kominkiem. Michałek zwykł był już zawsze wieczerzać przy świetle lampy; łuczywo palili tylko w zimowe wieczory, ażeby w chacie jaśniej i weselej było. W mgnieniu oka dwie małe dziewczynki znalazły się na kolanach ojca, Stasiuk na stole siedział i wszystko troje razem gadało, lecz nikt ich nie słuchał. Pietrusia na stole postawiła misę dymiących się kartofli, bochen chleba i nóż mężowi podała, a potem z sieni przyniosła jeszcze h ł a d y s z z kwaśnem mlekiem.

Wkrótce po wieczerzy dzieci zasnęły. Ślepa baba, nacałowawszy się prawnuczek i naśmiawszy się z ich szczebiotu i swawoli, zabiera się także do rozciągnięcia na piecu starych swych kości, kiedy Pietrusia, myjąc miski i łyżki, odezwała się nagle:

— Aha! jaż wam nie opowiedziała jeszcze, co mnie się dziś przytrafiło...

Do dzisiejszego swego wypadku małą przywiązała wagę i opowiadała o nim babce i mężowi ze śmiechem, zwyczajnie jak młoda kobieta, która ma głowę nabitą swojem kochaniem tak, że nic z tego, co się jej zdarza, na złe sobie tłómaczyć nie umie...

Kowal grubym swym i serdecznym śmiechem śmiał się także i z chłopów, którzy ogień na przyciąganie wiedźm rozniecają, i ze zdarzenia, które na ten ogień żonę jego przywiodło. Ale stara Aksena widocznie zmarkotniała. Kiedy Pietrusia opowiadać przestała, a wymyte miski i łyżki umieszczała na przybitej do ściany desce, stara ozwała się z pieca:

— To niedobrze, oj, to niedobrze, że ty, Pietrusia, pierwsza na ten ogień przyszła!..

— Głupstwo! — zaśmiał się kowal i ręką machnął, ale Pietrusia żywo ku babce twarz zwróciła:

— Czemu? — zapytała.

Po chwilowym jeszcze namyśle, baba mówić zaczęła:

— Bo najpierwej wiadomo, że na taki ogień z a u s i d y (zawsze) wiedźma przychodzi. To już wiadomo, to już tak musi być, tak już Pan Bóg Najwyższy siłę nieczystą ludzkim oczom objawia. To czemuż ty, Pietrusia, d z i s i a k a (dziś) na ten ogień przyszła?

Ręce młodej kobiety opadły nagle i splotły się na spódnicy.

Wytrzeszczyła oczy i na babkę patrzała.

— Czy ja wiem, czemu? — wymówiła z cicha z wyrazem zdumienia, przez które przebłyskiwała trwoga.

— Ot! — lekceważąco ozwał się kowal — szła to i przyszła. Szkoda gęby na to marnować.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.